





WCZASY KOLEŻEŃSKIE



≡ 1911 ≡

WCZASY KOLEŻEŃSKIE



≡ 1911 ≡

INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH I PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 73
Tel. 26-68-63

◊◊◊ SKŁAD GŁÓWNY ◊◊◊
W KSIĘGARNI L. IDZIKOWSKIEGO.

NAKLAD I Druk DRUKARNI POLSKIEJ
◊◊◊ KJÓW, KRESZCZATYK №38. ◊◊◊



24.194



WSTĘP.

Podwaliną szczęścia każdego społeczeństwa powinna być harmonia pomiędzy jego życiem duchowym, a materyalnym, kompletna zgodność i jednolitość przekonań i uczynków. Gdy będziemy mogli postępować według swoich zasad, gdy będziemy mogli realizować swoje idee i dążenia, wtedy eo ipso będziemy się czuli kompletnie zadowolonymi ze swego życia—będziemy szczęśliwymi!

Nie stekiem nieporozumień, sprzeczności i walk, ale jednym dźwięcznym akordem będzie nasze ziemskie życie, a akordy te stworzą potężną pieśń chwalebną na cześć wielkiej, Niepokalanej Prawdy.

Nie na reformach socyalnych, nie na zmianach administracyjnych polega nasza przyszła szczęśliwość, żadne kodeksa prawne, żadne najidealniejsze ustroje społeczne nie dadzą pożądaney sumy spokoju i zadowolenia społeczeństwu, które samo w sobie, będzie nosiło pierwiastek destrukcyi, rozkładu i zepsucia.

Co pomogą najsurowsze kary, lub najszersza wolność tym, którzy straciwszy zmysł krytyczny, nie mogą rozróżnić dobra od zła, cnoty od występku. Lombrozo wskazuje w swych pracach naukowych, że większość przestępców rekrutuje się przeważnie z pośród ludzi chorych, nieprawidłowo rozwiniętych jak pod względem fizycznym, tak też i duchowym. Chorzy fizycznie, kalecy mogą znaleźć poradę i pomoc u lekarzy, wzbudzają litość u innych. Iluż kalek duchowych żyje wśród nas, cierpi i ginie, a my nie przypuszczamy nawet jak ciężkie przechodzą katusze.

Zwiększająca się liczba samobójstw, występów kryminalnych, niski poziom moralny i intelektualny naszego społeczeństwa, wszystko to wskazuje, na powolną, lecz stale postępującą degenerację, stały zanik zasobów myśli i uczucia, zwyrodnienie duszy, straszne zsuwanie się w jakąś bezdenną otchłań lez, ciemnoty i nieszczęścia.

Człowiek—pan świata, najdoskonalsza istota na ziemi stacza się powoli z wyżyn kultury i cywilizacji, a szukając, zawdzięczając Darwinowi pokrewieństwa ze światem zwierzęcym, traci prawo obywatelstwa wśród istot wyższych, obdarzonych rozumem i wolną wolą. W przyrodzie, jak wiemy, egzystuje cztery formy życia, które noszą nazwy: *vita materyialis*, *vita mentatiwa*, *vegetativa* i *sensativa*. Przedstawicielami pierwszego są minerały i cała martwa przyroda, drugiego świat roślinny, trzeciego zwierzęcy i czwartego — ludzie. Idąc coraz wyżej, doskonaląc się, nie ztraca się jednak charakterystycznych cech faz bytu poprzedniego.

Jak zwierzęta żyjąc życiem *sensativa*, żyją i życiem *vegetativa* tak też i ludzie żyjąc życiem *mentativa* żyją i trzema poprzednimi.

Podział ten zapoczątkowany przez starożytnych filozofów, wzniesiony i rozwijany przez współczesne szkoły filozoficzne, wskazuje nam na to, że człowiek nie jest tylko zwierzęciem jak chcą jedni, lub istotą nadprzyrodzoną, jak chcą inni, lecz składa się w równej mierze z elementów materialnych i psychologicznych, łączność których tworzy konieczną i bezwarunkową podstawę istoty ludzkiej.

Rozwijając, jednak którąkolwiek z nich, możemy sprowadzić człowieka z drogi rozwoju, potęgi, ergo piedestału na jakim stać powinien, lub też posuwamy wyżej, doskonaląc te cechy, którym zawdzięczamy wyższość nad innymi stworzeniami.

Doskonalenie więc duchowej strony istoty ludzkiej powinno być zadaniem i obowiązkiem każdego z nas. Jednak, jak to czynić, jak nadać określoną najbardziej doskonałą formę naszym dążeniom i marzeniom?

Bezwarunkowo jest to właśnie zasadniczym pytaniem na które każdy z nas szuka odpowiedzi długo, nieraz całe życie.

Błądzenia wśród labiryntu rozmaitych dróg i ścieżek wytykanych przez filozofów i pseudofilozofów, proroków i prowokatorów myśli jest najrozpaczliwszym okresem naszego życia, najbardziej beznadziejnym i smutnym stanem naszej duszy. Tak zwany „*weldszmertz*“ wynika z takich właśnie bezowocnych wysiłków ku odszukaniu racji bytu, prawdy, szczęścia. Hamletowskie „być, albo nie być“ musi stać się udziałem każdego myślącego człowieka. W szukaniu dróg ku szczęściu można się powodować dwoma uczuciami: chęcią zaspokojenia swoich potrzeb i chęcią zaspokojenia potrzeb innych. Pierwsze prowadzi ku walce ze wszystkimi w imię swego ja, drugie — ku walce z sobą

samym w imię ogólnej szczęśliwości. To drugie, będąc z natury rzeczy wznioślejszem i piękniejszym jest też i racjonalniejszym od pierwszego! Jeżeli będziemy dążyli wszyscy ku celom egoistycznym, to życie nasze zamieni się w bellum omnes contra omnes, czyli w to, co mamy teraz, w odwrotnym zaś razie, przy wspólnych dążeniach, wkrótce występki i zło zostanie wykreślone z naszego słownika, a powszechne zadowolenie i spokój i szczęśliwość zamienią życie ludzkie w idealny promienny sen. Dążenie ku lepszej przyszłości jest tak zrozumiałem, że wszelkie tłumaczenia będą zbyt blade w porównaniu z naszym własnym wewnętrznym przekonaniem. Dążąc więc ku tej idealnej szczęśliwości, musimy na pierwszym planie postawić doskonalenie się pojęte w jaknajszerszem znaczeniu.

Znając cel życia, jasnym jest dla nas i to, jak się mamy doskonalić. A więc doskonalić się musimy jako ludzie, jako członkowie rodziny, jako członkowie społeczeństwa. Nie roztrząsając doskonalenia się w pierwszych dwóch kierunkach, chciałbym powiedzieć słów parę co do trzeciego!

Doskonalić się jako członkowie społeczeństwa! Takie jasne, a takie niezrozumiałe zarazem.

Co to jest społeczeństwo, jakim powinien być idealny jego członek, jak się trzeba doskonalić, — wszystko to można tłumaczyć dowolnie — tak, lub inaczej. O ile będziemy myśleli o społeczeństwie jako o pewnej grupie osób złączonych wspólną przeszłością, wspólną kulturą, kochających jedne i te same ideały, dążących do tych samych celów, to i pojęcie pożytecznego idealnego członka społeczeństwa będzie kompletnie zrozumiałem. Być doskonałym członkiem danego społeczeństwa, to znaczy pracować z nim i dla niego, to znaczy hołdować jego ideałom, bronić jego interesy, służyć przykładem i wzorować się na przykładach dawanych przez to społeczeństwo. Żeby, jednak, położyć swe życie u progu gmachu tworzonego przez społeczeństwo, trzeba to społeczeństwo kochać, trzeba mu wierzyć i ufać, trzeba je szanować.

Kochać, zaś, szanować i wierzyć można tylko wtedy, kiedy się dane społeczeństwo zna, kiedy się zna jego przeszłe życie i kulturę. Jedno i drugie możemy osiągnąć przez studyowanie historii i dziejów umysłowości, czyli literatury, dla tego też jałową będzie miłość ku ojczyźnie pozbawiona podstaw, impulsywna, nie zaś uświadomiona i rozumowa.

Chcąc być godnym członkiem *naszego* społeczeństwa musimy je pokochać, musimy poznać, nauczyć się szanować i wierzyć w nieskazitelną i potęgę jego zbiorowego ducha.

My nie potrzebujemy się rumienić, nie potrzebujemy sofistycznych wybiegów i kłamstw.

Możemy śmiało rozwinąć wstęgę naszej historii—jeżeli znajdziemy na jej śnieżnej bieli ślady plam, to będą to amarantowe ślady krwi ofiarnej, która się lala z męzkich ran na polach Grunwaldu, Cecory i Grochowa, którą broczyły serca niewiast polskich, gdy im uwożono w dalekie śnieżne pustkowie ojców, mężów i braci.

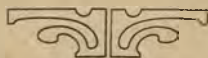
Niech wielkie przykłady przeszłości nie pójdą na marne, niech gorące, a zacne słowa naszych wieszczów rozniecą w nas szczytny zapal poświęcenia.

Nie sławne czekają nas boje, przeszły czasy wojennych burz, z książką musimy iść ku współbraciom, wytrwałością, żelazną energią, a pracą musimy zdobyć to, co nam drogą gwałtu odebrano.

Dla tego też—obowiązkiem każdego z nas jest kształcenie swego umysłu i duszy. Gdy innym wystarcza pierwsze, nam nie wystarcza czasami i drugie.

Przy naszej pracy musimy osiągnąć cel podwójny, musimy zdobyć pewną sumę wiedzy, ale też musimy zdobyć i umiejętność dawania sobie rady samym, gdyż więcej mamy wrogów niż przyjaciół i więcej przeszkadzać nam niż pomagać będą.

Rozumiejąc te wielkie zadania jakie leżą na nas wszystkich, wszyscy powinniśmy skierować swe siły ku temu, by stać się godnymi sławnych przodków i by wnukom stworzyć szczęśliwszą przyszłość, opromienioną jutrznią wolności, która zwiastować będzie dzień odrodzenia i narodowego święta.



WIERZĘ.

Wierzę, że życie dla szczęścia nam дано,
Wierzę, że w mojej mocy jest doń droga,
Wierzę, że będę w życiu ja kochaną,
Że szczęście będzie stać u mego proga...

Wierzę w moc ducha mego niepożyta
W tę moc, co będzie w wieczności istniała
I w siłę czucia mojego ukryta,
Czucia, co w głębi istoty mej pała.

Wierzę, że dusza ma nie próżno czeka
Ducha bratniego, z którym złączę życie,
Wierzę, że szczęściem największym człowieka
Jest to złączenie w tym i w przyszłym bycie.

28. I. 1911 r.

Maryna Cramer.

URYWEK.

(Z PRZESZŁOŚCI).

Przeszłość mi moja przyszłość mą truje,
Podstaw w niej stałych
Planów zuchwałych
Ja nie znajduję.

Kilka chwil jasnych już zapomnienie
Pylem mi swoim przyprusza,
Co dziś mnie cieszy
Jutro mnie śmieszy,
Jak wezoraj dziś mnie nie wzrusza.

Złote marzenia?
Każde się zmienia.

Po krótkiej chwili w garść błota.
Myśl mą przygniotły,
Duszę oplotły
Nuda i wielka tęsknota...

* * *

Chce mi się czasem lecieć pod obłoki
Do ideału, aż tam, hen do szczytu.
Lecz mnie wnet miążdży zagadka wszechbytu
I spadam na dół, jak górskie potoki.

Przypnę do ramion moich myśli skrzydła,
Dotrę do wyżyn, gdzie wzrok nie zabieży
I spadam w przepaść, co przedemną leży,
Wiedzę mą chwyta niepewność w swe sidła...

Maryna Cramer.





KWESTYA POLSKA NA KONGRESIE WIEDEŃSKIM.

Nieudana wyprawa Napoleona przeciwko Rosyi, klęska poniesiona pod Borodinem, cały szereg upokarzających dowodów niemocy wojsk napoleońskich w podobnych warunkach, wreszcie sromotne wycofanie się ich—zapoczątkowały nową erę w życiu genialnego Korsykanina i w dziejach Europy.

Autorytet Napoleona zachwiał się, gwiazda jego zbladła. On, niezwyciężony bohater z pod Piramid, Marengo, Jeny, Sommosierry, on, na sam dźwięk imienia którego drżały ludy Europy, on, który potężną wolą strącał korony z głów monarszych, obsadzał trony, rozporządzał się państwami, niby własnem dziedzictwem — on, Napoleon, złamany, zwyciężony, uchodził z Rosyi, wyprowadzając zaledwo resztki zdziesiątkowanej armii, a tam, za nim, na śnieżnych równinach został kwiat jego wojska, została jego chwała, jego sława niezwalczonego wodza. Dymy unoszące się nad zgliszczami płonącej Moskwy zaćmiły gwiazdę Bonapartego i blask oręża francuskiego i rozwiały tę aureolę, która otaczała postać „Małego Kaprała“.

Z upadkiem Napoleona odwraca się nowa karta w dziejach Europy i narody, wycieńczone długoletnią walką dążą do przywrócenia politycznej równowagi i ustalenia pewnych norm, gwarantujących im niepodległość, swobodę, a nadewszystko tak bardzo pożądaną spokój.

Spółczesność polskie pokładało w Bonapartym wiele nadziei, widziało w nim obrońcę polskich interesów i niezachwianie wierzyło, że on, a nie kto inny odbuduje państwo w dawnych jego granicach —

i cały naród oslepiiony, zahypnotyzowany geniuszem tego boga wojny bez słowa protestu znać krwią własną pochod pod piramidy i śniegi moskiewskie i skalne cypłe Sommosierry.

Losy Polski tak ściśle były związane z Napoleonem, iż upadek jego najboleśniej może echem odbił się w społeczeństwie polskim, które zrozumiało, że wszelkie rachuby zawiodły, że wszystkie nadzieje rozwiały się, że usuwa się ostatnia deska ratunku.

Z oczu naszych opadła łuska złudzeń — i ujrzeliśmy jasno, że Bonaparte użył nas jedynie jako narzędzia do urzeczywistnienia swoich osobistych, ambitnych celów, że nigdy szczerze nie myślał o polepszeniu naszego bytu, że wszystkie nasze bohaterskie wysiłki, zapisując złotemi zgłoskami imię polskie w historii ludzkości, nie przyniosły żadnej realnej korzyści.

Społeczeństwo polskie dzieliło się wówczas na dwa obozy: jedni, zaślepieni fanatycznym uwielbieniem i miłością do Napoleona uparcie trzymali jego stronę, czego dowodem Jerzmanowski, który wraz z całym oddziałem dobrowolnie dzielił tułacze losy wygnania Napoleona na Elbie, drudzy z Czartoryskim na czele, pozbywszy się owego daltonizmu politycznego i zrażeni do Bonapartego, pokładali wszystkie nadzieje w Aleksandrze I, który wówczas, życzliwie będąc usposobiony do narodu polskiego, szczerze przemyślał nad odbudowaniem naszej ojczyzny i przywróceniem jej niepodległości.

Utopijnem marzeniem Czartoryskiego, znającego żywą sympatyę Aleksandra dla Polski i Polaków, było połączenie wszystkich części Polski, poćwiartowanej trzema rozbiorami, w jedną całość pod protektoratem Rosyi. Cesarz, z natury szlachetny i patrzący na rozbiór naszej ojczyzny jako na gwałt i bezprawie, marzenia te w zupełności podzielał, pragnąc wcielić do swego państwa wszystkie ziemie polskie z nadaniem konstytucyi, ustanowieniem wojska narodowego, gwarantowaniem wszystkich swobód, a sam przyjmując tytuł króla polskiego. Szeregi stronników Napoleona malały z dniem każdym, w miarę tego, jak coraz jaśniejszą stawała się bezpodstawność pokładanych w Bonapartym nadziei, a jednocześnie powiększało się grono zwolenników ugody z Rosją. Przyczyniał się do tego ogromnie, wpływowy wówczas Czartoryski, a postępowanie Aleksandra, nacechowane niekłamną sympatyą dla nas i dbałością o nasze interesy, jednało mu coraz liczniejszych adherentów.

Inaczej na tę sprawę zapatrywały się mocarstwa ościenne, mianowicie Austria i Prusy, dla których sama myśl wcielenia całej Polski, jako konstytucyjnego Królestwa do Rosyi z zachowaniem 50,000 armii narodowej — była zmorą i kanclerz Austrii Metternich postanowił dołożyć wszelkich starań, aby nie dopuścić do urzeczywistnienia planów Aleksandra, tak bardzo sprzecznych z interesami Austrii.

Ponieważ zaś przewrót dziejowy, dokonany w Europie przez Napoleona, wymagał, po upadku tego ostatniego, uregulowania wszystkich rachunków, ustalenia pewnych granic państwowych, jednym słowem unormowania stosunków wewnętrznych w Europie i zaprowadzenia jakiego takiego ładu i porządku, postanowiono przeto zwołać w Wiedniu Kongres, mający na celu rozpatrzenie się w sytuacji i rozstrzygnięcie wszystkich kwestji, których tak wiele nazbierało się do owego czasu.

Jedną z głównych przyczyn zwołania Kongresu wiedeńskiego, była najbardziej wówczas aktualna, paląca kwestya polska i Metternich, sprężyna całego zjazdu, postanowił przeprowadzić ją na warunkach najkorzystniejszych dla Austrii.

W 1815 roku otworzony został Kongres wiedeński, gdzie rozstrzygnięły się losy wielu państw europejskich, a w ich liczbie Polski.

Aleksander I spotkawszy się z niezłomnym oporem reprezentantów innych mocarstw, musiał ustąpić i sprawa Polska wzięła zupełnie inny obrót.

Tu dopiero wykazała się cała utopijność rachub Czartoryskiego, tu dopiero przekonaliśmy się po raz nie pierwszy i nie ostatni niestety, że w odbudowaniu Polski możemy liczyć jedynie na siebie samych, nie zwracając uwagi na miódopłynne obietnice innych. Polsce przeszkodzono zjednoczyć się pod jednym z trzech zaborów, co sprzyjałoby ogromnie w przyszłości wyzwoleniu się narodu z pod jarzma ciemności, ale podzielono dawne dzielnice polskie na cztery części.

A mianowicie: Prusy, baczne na wynagrodzenie za poniesione straty i trudy wojenne oraz na zaokrąglenie swych granic — zagarnęły Wielkie Księstwo Poznańskie, znajdujące się w ich posiadaniu do dziś dnia.

Austria, oprócz Galicyi, stanowiącej jej własność od roku 1772 t. j. od pierwszego rozdziału Polski, dostała jeszcze obwody: zbarazki, tarnopolski, wraz z częścią Powiśla, zawierającego żupy solne Wieliczki i Bochni.

Reszta Księstwa Warszawskiego, zajmująca mniej więcej około 2215 mil kwadratowych, wraz z Warszawą, przeszła pod berło rosyjskie, pod nazwą Królestwa Kongresowego.

Kraków zaś wraz z okolicą, obszar 14 mil kwadratowych, tworzył wolną, niepodległą i samoistną Rzeczpospolitą, znajdującą się jednakowoż pod protektoratem Austrii, Rosyi i Prus.

Oprócz tego Rosya, Austria i Prusy zawarły między sobą układy, gwarantujące prowincjom polskim, które przeszły pod ich panowanie kompletną amnestye, rządy konstytucyjne, wolność wyznania, języka i handlu, wreszcie przedstawicielstwo narodowe. Na Kongresie Cesarz Aleksander występował jako przedstawiciel narodu polskiego i gorąco popierał myśl zostawienia Polakom autonomii w najszerszym zakresie.

Jak widzimy jednak nie udało mu się w zupełności przeprowadzić swoją ideę, ale nie chcąc zrazić do siebie społeczeństwa polskiego niedotrzymaniem wszystkiego tego, co obiecał, wpłynął na zredagowanie punktów uchwał Kongresu, dotyczących Polski—niezmiernie elastycznie, tak iżby je można rozumieć i komentować rozmaicie.

Metternich dopiął celu — Polska była rozdzielona, weszła w skład trzech mocarstw, a t. zw. szumnie republika Krakowska była tak małą i przy tem tak zależną mimo wszystko od swych potężnych protektorów, że widmo odbudowania Polski przestało grozić na długo.

Kongres wiedeński i powzięte na nim uchwały wywarły przygnębiające wrażenie w Polsce.

Pokładano wielkie nadzieje w szczerość Aleksandra i spodziewano się, że wpływy jego zupełnie zmienią sytuację polityczną w Polsce. Nadzieje zawiodły.

Kościuszko odczuł ten nowy cios bardzo boleśnie i natychmiast wyjechał do Szwajcaryi, rozgoryczony i zawiedziony.

Nie mniejsze wrażenie wywarł kongres na Czartoryskim. Ten jednak ręk bezsilnie nie opuścił i udał się z Wiednia do Królestwa; tu Aleksander powierzył mu opracowanie konstytucyjnej formy rządu dla nowego Królestwa.

Spółeczeństwo polskie po doznanej porażce na polu dyplomatycznym odsunęło się od Aleksandra, podejrzewając go o złą wolę i ów entuzjazm z jakim mówiono o nim poprzednio, widząc w cesarzu wskrzesiciela Ojczyzny, zgasł równie szybko jak powstał.

Nieprzychylnie stanowisko, zajęte przez naród względem Aleksandra, ogromnie utrudniało pracę Czartoryskiemu, który nawet po kongresie, w Rosyi jedynie widział przyjaciółkę mogącą kiedyś, w krytycznej chwili podać rękę Polsce.

Działalność Czartoryskiego paraliżował też po części i Wielki Książę Konstanty, brat cesarski, mianowany głównodowodzącym armią w Królestwie.

Był to człowiek nieobliczalny, fantastyk, ograniczony, o instynktach złych i dzikich.

Nie znając w niczem hamulca, swym nieokiełznanym charakterem przyczynił się wielce do pogorszenia sytuacji.

Nie mniej Czartoryski z żelazną siłą woli i prawdziwym zaparciem się siebie, spełnił powierzony sobie obowiązek.

Konstytucya opracowana przez niego, mimo starań wielu dygnitarzy rosyjskich, została zatwierdzona przez cesarza.

Daleko jej było oczywiście do sławnej angielskiej Chartyi Wolności, niemniej uważana była za jedną z liberalniejszych w Europie.

Na mocy nowych ustaw urzędowym językiem został uznany język polski, mający być wyłącznie używany we wszystkich instytucjach.

Obywatelom kraju przestał grozić Sybir, jako kara za winy, gdyż odnośny punkt konstytucyi zabraniał deportacyi na północ; Polska miała swoich ministrów, odpowiedzialnych przed reprezentacją narodową, oraz dwie Izby—wyższą i niższą, o władzy daleko większej, niż za czasów Księstwa Warszawskiego.

Jednem słowem, gdyby konstytucya nie została zniesioną w 1831 roku—Polska miała wszelkie warunki rozwoju pod wszystkimi względami i dziś, być może, sytuacja nasza jako narodu nie byłaby tak opłakaną. Ale nie długo cieszyliśmy się nowemi prawami: gdy tylko zabłysł mały promyczek nadziei kompletnej swobody, zrzućenia wszelkiej zależności—naród polski porwał się do broni. A odniósłszy klęskę zostaliśmy na łasce zwycięzcy, którego pierwszym czynem było zniesienie konstytucyi Królestwa kongresowego.

Ten sam los spotkał i republikę krakowską, która po rewolucyi austriackiej w 1846 roku została przyłączoną do Austrii.

Tak przedstawia się kwestya polska na kongresie wiedeńskim.

Stanisław Czosnowski.



CZY ZNASZ?...

Czy znasz godziny tej słodkiej tęsknoty,
Którą się serce szalone trzepoce?
Czy znasz upojny o szczęściu sen złoty?
Czy znasz bezsennie mijające noce,
Gdy z gorączkowym rumieńcem na twarzy,
Myśłami siegasz w krainę miraży?

Czy znasz to serca niespokojne drzenie,
Kiedy twarz jedna przed oczyma stanie?
Wokoło cisza wielka i milczenie,
A z głębi serca przemawia kochanie...
Czy znasz ten przyływ cichej melancholii,
Gdy serce rwie się gdzieś w przestrzeń i boli...

Cicho się księżyc po niebie przesuwa,
Usnął po trudach spracowany człowiek,
Przędza tęsknoty Ci serce osnuwa
I sen uleciał od rozwartych powiek...
Czeremcha pachnie i słowik gdzieś śpiewa,
A serce w piersi w niemocy omdlewa...

18. XI. 1910 roku.

Stanisław Czosnowski.



GOŃNIEC

... I wysłał człowiek świetlistego gońca
Po ukojenie
Aż w kraj fantazyi, w kraj wiecznego słońca
Wysłał marzenie.

I wysłał człowiek świetlistego gońca
Na zatracenie,
W duszy zostało mu tylko znużenie,
Smutek bez końca...

Maryna Cramer.



SKARB.

W duszy swojej każdy nosi
Na dnie skarb głęboko.
Nie widziało go tam nigdy
Żadne ludzkie oko.

Czasem błysnie w głębi wzroku,
Lub w uśmiechu skrycie.
W duszy swej go każdy szuka
Całe długie życie.

Gdy go znajdzie który z ludzi,
To go szczęściem zowie,
Nigdy jednak jak doń droga
Innym nie opowie.

Maryna Cramer.





RZUT OKA NA STAN EKONOMICZNO-POLITYCZNY KONGRESÓWKI.

W 1815 r. Europa była widownią obrachunków, jakie czyniły pierwszorzędne dynastye, z pełną upokorzeń i hańby, epoką napoleońską.

W 1815 r. starano się zetrzeć z oblicza ziemi najsłabsze oznaki bardziej wolnościowych dążeń, bardziej liberalnych idei i marzeń. Jeszcze nie przebrzmiały zwycięzkie, a groźne dla nieprzyjaciół echa Austerlitzu, Ejlau i Friedlandu, jeszcze wczorajszy pan kontynentu—Napoleon I nie przeszedł do historyi, a był złowrogą rzeczywistością, gdy już obdzielono się puścizną po nim, już obracano w niwecz to, co jego energia i geniusz zbudować zdołały.

W 1815 r. został zwołany wielki likwidacyjny zjazd, Kongresem Wiedeńskim zwany.

Jedną z najważniejszych, a dla nas najbardziej żywotnych kwestyi, była kwestya Polski, którą kongres miał rozpatrzyć i rozstrzygnąć ostatecznie.

Rozstrzygnął też w sensie decydującym jak następuje: Polska została podzieloną pomiędzy trzema mocarstwami, Rosyą, Niemcami i Austryą, a Kraków ogłoszono, wolnem — niepodległem miastem, mającem być pod bacznością, a staranną opieką tychże państw.

Sam fakt rozczłonkowania jednolitego państwa, fakt gwałtu politycznego i przemocy silniejszych nie mógł być, ani sprzyjającym ani, względnie nawet, dla Polski, dogodnym.

Trudno się było spodziewać bardziej sprawiedliwego, lub też etycznego zakończenia sprawy, jednak jak zgubną i jak niebezpieczną była dla Polski uchwała Kongresu Wiedeńskiego, wykazała dopiero smutna, obfita w klęski przyszłość.

Na pierwszy rzut oka, uchwały Kongresu Wiedeńskiego, zapowiadały pomyślny rozwój każdej z poszczególnych części Polski, szerokie prawa wolnościowe, wszelkie przywileje, nieskrępowanie życia politycznego, wszystko rokowało świetną, a szczęśliwą przyszłość. Tak zdawałoby się na pierwszy rzut oka, lecz w samej rzeczy, sprawa polska była na jaknajgorszej drodze, była zależną od kaprysu, od woli danego monarchy. W aktach kongresowych regulujących prawa Polaków pod trzema rządami określane było tak:

„Polacy poddani państwu, traktaty zawierających, mają otrzymać reprezentację i instytucje narodowe, urządzone według zasad, jakie każdy rząd, do którego należą, nadać im uzna za użyteczne i właściwe“.

Politycy austriacy i pruscy odrazu znaleźli w ostatnich słowach powyższego postanowienia pretekst do uwzględnienia tych wyraźnych zastrzeżeń.

Pełnomocnik pruski Hardenberg pisał:

„JKMość będzie się zawsze starał zapewnić Polakom, swoim poddanym, te swobody i korzyści, których mają prawo się spodziewać, o tyle, o ile one będą zgodne ze stosunkami jego państwa i z głównym celem każdego rządu t. j. z utrzymaniem jedności tegoż“.

Książę Metternich powiedział mniej szczerze:

„J. C. Mość, — były słowa Metternicha — nie przestanie ze swej strony czuwać nad pomyślnością swoich polskich poddanych z tą samą ojcowską gorliwością, z jaką, szczęściem wszystkich różnoplemiennych poddanych zajmuje się i ma to przekonanie, że szczęście ludów jest najpewniejszą rękojmią spokojności i siły państwa; szczęście to zaś zależy od sprawiedliwego uwzględnienia przez rząd wszystkiego, czego się domaga duch narodowy i zwyczaj ludów“, (noty ze zbiorów d'Augeberga ze zbiorów Skarbka).

Widzimy z tego, jak problematyczne były wszystkie obietnice dawane Polakom i jak względną była ich wolność i samodzielność przyszła.

Najbardziej charakterystycznym był los tej części b. Rzeczypospolitej, która przyłączoną została do Rosyi, pod mianem Królestwa Polskiego. Stanowiło to część Ks. Warszawskiego obejmującą 2,214 mil kw. i 2,814,989 głów ludności.

Obszar ten pospolicie Kongresówką zwany, wcielony został do Państwa Rosyjskiego po wieczne czasy, z zapewnieniem wszelkich praw i prerogatyw autonomicznych. Z początku trudno było przesądzać o pomyślności postanowień kongresu i ludność wyniszczona tyłoma walkami, zdziesiątkowana i zmaltretowana, z wdzięcznością przyję-

ła te różowe obietnice lepszej i jaśniejszej przyszłości. Żeby wytłumaczyć cały przebieg krótkotrwałych dziejów kongresówki, należałoby wyjaśnić postępowanie Aleksandra I-go, od dobrej woli którego, zależało bardzo wiele, jeżeli nie wszystko prawie. Cesarz młody i wykształcony, nie nadający się wcale na północnego satrapę, był — człowiekiem o charakterze miękkim i wpływowym: to przyjaciel i adorator Napoleona, to wróg jego najzaciętszy, to liberalny król Polski, to despotyczny wschodzi samodzierżec!

Od fluktuacji przekonań Aleksandra, należy też uzależniać i te zmienne tory, przez jakie przechodziło życie polityczne Kongresówki.

Zaraz po Kongresie Aleksander był ogromnie przychylnie dla Polaków usposobiony, co znać z jego listów, (do prezesa senatu hr. Ostrowskiego) z jego odezw do narodu polskiego.

Jak wiemy już, nadanie tych lub innych praw, tej lub innej formy rządu zależało kompletnie od cesarza. Dotychczas w Królestwie Polskim sprawowały władzę wykonawczą, tymczasowe Rządy i Komisye, naznaczone przez cesarza.

Pierwszym aktem po Kongresie Wiedeńskim była koronacja cesarza Aleksandra, na Króla Polskiego. Uroczyste manifestacye w Warszawie i w całym kraju, wskazywały jak przyjazne względy żywiono ku cesarzowi. Po koronacji nastąpiło nadanie „Zasad“, według których miało się rządzić Królestwo Polskie, zupełnie samoistnie, na podstawach wszelkich konstytucyjnych praw i wolności. Sejm, Senat, Komisye—wszystko rokowało wielkie nadzieje i naród polski tak okłamywany i oszukiwany, zdradzany i zmuszany na każdym kroku, do coraz boleśniejszych rozczarowań, znów wierzył, znów z zaparciem się i poświęceniem zaczął, tylekrotnie burzoną, pracą odrodzenia. Odrodzenie było wszystkich dążeniem i celem, a dla urzeczywistnienia którego, Kongresówka miała wszelkie dane.

Na czele kraju stała Rada Administracyjna i ministerstwo, sejmy oraz jako przedstawiciel cesarza—namiestnik. Namiestnikiem—był generał książę Zajączek, człowiek próżny i przykry, zawdzięczający wysokie stanowisko wpływom ks. Ogińskiego, albowiem żona generała była córką marszałka dworu ks. Ogińskich.

Na czele rady administracyjnej stał szanowany powszechnie, zasłużony polityk i szczery patriota ks. Adam Czartoryski. Ministrami byli: spraw zewnętrznych Mostowski, spraw wewnętrznych i policji Matuszewicz, oświecenia i spraw religijnych Stanisław Potocki; skarbu ks. Drucki-Lubecki. Lepszego doboru być nie mogło, gdyż każdy z wyżej wymienionych mężów stanu był nieposzlakowanej prawości i pierwszorzędnej zdolności obywatelem.

Jednak pomimo wszelkich swobód i przywilejów konstytucyjnych, władzą organów miejscowych ogromnie ograniczał, a pracę polityczną

komplikował, sekretarz do spraw polskich — Nowosilcew, późniejszy zaufany cesarza Aleksandra i zacięty, nieprzejednany wróg polaków.

Nowy rząd miał trudne i uciążliwe zadanie, zaprowadzenia porządku w kraju, do systematycznej pracy nie przywykłym, miał wielkie zadanie dźwignięcia z ruiny gmachu państwowego, co jak wspaniała gotycka świątynia—niegdyś, teraz, po tylu przewrotach, po tylu klęskach—w gruzach leżał—zburzony przez zewnętrznych i wewnętrznych wrogów.

Na pierwszym planie była kwestya ładu i porządku społecznego, a więc nadanie kodeksów prawnych i sądownictwa.

Komisye rządzące zgodnie z Zasadami Konstytucyjnymi zostawiły prawo cywilne i kryminalne już istniejące, z zamiarem rozszerzenia i modyfikowania go według potrzeb i wymagań stworzonych przez okoliczności. Starano się zamienić Kodeks Napoleona statutem litewskim, lecz ponieważ w praktyce kodeks miał jaknajlepsze zastosowanie i ponieważ duchowieństwo było za nim, więc projekt ten do skutku nie przyszedł. Instancje sądowe określone były według tytułu piątego Art. 138 Ustawy Konstytucyjnej tak:

„Sądownictwo jest konstytucyjnie niepodległe art. 139. Przez niepodległość sędziego rozumie się służąca mu wolność oświadczenia swego zdania w sądeniu bez ulegania wpływowi Władzy Najwyższej i Ministeryalnej lub jakiemu bądź względowi. Art. 140. Sąd składać się będzie z sędziów przez króla mianowanych i z sędziów obieralnych, stosownie do statutu organicznego. Z sędziów tych według art. art. 146, 7, 8, 9, 50, 34 i 52 były uformowane sądy Pierwszej instancji w każdej gminie i w każdym mieście; oprócz tego, sądy ziemskie i zjazdowe i sąd handlowy. W każdym Województwie dla spraw kryminalnych i poprawcze sądy Grodzkie. Za tem jako instancja Wyższa—Sądy Apelacyjne, które miały przesądzać sprawy sądzone w sądach cywilnych, kryminalnych i handlowych“.

Najwyższą instancję tworzyły Trybunał Najwyższy, składający się z senatorów obieralnych i mianowanych w równej liczbie, i Sąd sejmowy sądzący zbrodnie stanu i przestępstwa wyższych urzędników Królestwa. Jurysdykcya w tym sensie zapowiadała kompletną samodzielność Królestwu w kwestyach sądu i kary, co z uwzględnieniem przez tytuł drugi Art. 18 starodawnego prawa kardynalnego — *Nemine Captivari Permitted nisi jure dictum*—jaknajlepsze rokowało nadzieje. Mając swój sąd i swoją policję, rząd Królestwa Polskiego, musiał uregulować stosunki w sferach włościaństwa i miast, co też, w pewnej mierze, osiągnięte zostało. Niemniej, co prawda, rozszerzone zostały prawa ludu wiejskiego, bo tylko złagodzone prawo o postojach wojsk i porobiono niektóre ustępstwa służby szarwarkowej. Nie można, je-

dnak, brać tego za złe, gdyż daleko więcej spraw ważnych, o charakterze ogólnym, rozstrzygnąć trzeba było niezwłocznie i szczegółowo. Co się tyczy miast, to te otrzymały roczną zapomogę w kwocie 200,000 zł. polskich, na budowanie murowanych domów, oraz zostały uwolnione od budowy koszar wojskowych. Zreformowano straż ogniową i ulepszono asekurację budynków od ognia. Sama Warszawa otrzymała w r. 1816 300000 zł. p. zapomogi, a wkrótce wybrukowano 19 nowych ulic, razem przestrzeń zajmującą 20000 sąż. kw. Ze szczególną uwagą podejmuję te zabiegi gospodarcze nowego rządu by wskazać jak pieczołowitą, a godną pochwały opieką, cieszyły się najdrobniejsze bodaj szczegóły gospodarki krajowej. Zaczynając od rzeczy napozór małych rząd budził z uspienia każdą gałąź życia krajowego pobudzał do życia, ulepszał i do kwitnącego doprowadzał stanu. Gospodarstwo rolne, ulepszano, sprowadzając doskonałe gatunki zboża, hodowla podniesioną została przez złożenie kilku stajen i obór zawodowych, jak np. w Janowie. Cesarz przysłał chołmogorską rasę bydła, były naznaczane uagrody dla gospodarzy, a założenie instytutu agromicznego w Marymoncie spotęgowało liczbę wykształconych gospodarzy. Dbając o wszechstronny rozwój kraju, sprzyjano przemysłowi i handlowi.

Ustawa 31 grudnia 1813 roku uwalnia od wojskowości fabrykantów i rzemieślników przybyłych z zagranicy, znosi cła na towary surowe wwożone do Królestwa, zarządza zebrania fachowe rzemieślnicze. Jak w roku 1818 przybywa 785 rodzin, razem 3,335 osób z zagranicy dla zajęcia się handlem i przemysłem; w roku 1818 założono 7 fabryk sukna (ważniejsze w Kaliszu, Skierniewicach, Zgierzu i Koninie), w Warszawie fabryka materyi wełnianych, słomianych kapeluszy, kortów pończoch, odlewnia czcionek, w Wyszogrodzie grabarnia i fabryka żagli, w końcu fabryka lamp, do prowadzenia której, na koszt rządowy, wynajęto uzdolnionego rzemieślnika z Paryża.

Z przemysłem zostawał w ścisłym związku handel. Komisya rządowa otaczając go troskliwą opieką zaprowadziła izby handlowe, urządzono giełdę, ustanowiono jednostajne wagi i miary, zreformowano konfraternie kupieckie, urządzono jarmarki w Warszawie, z których pierwszy przyniósł dochodu (z cła połowicznego) 145,000 zł. p., a drugi 650,000 zł. p. Rozwój handlu i przemysłu pociągnął za sobą rozwój komunikacji lądowych i wodnych, zakładano szosy, powstały gościńce: mokotowski, poznański, petersburski, krakowski; wzniosły się mosty na Pilicy i Narwi, kosztowne groble pod Sieradziem, Komarami, Łęczycą, obwarowano brzeg Wisły tamami koniecznymi, sprowadzono z zagranicy inżynierów i kompetentnych rolników. W ślad za rozwojem handlu i przemysłu nastąpił rozwój górnictwa i hutnictwa.

Wyasygnowane 285,959 zł. p. oddano na ten cel specjalnej dy-

rekcji górniczej. Zawdzięczając jej pilnym staraniom i umiejętności powstały z gruzów kuźnie w Suchedniowie i Samsonowie, odkryto nową kopalnię golmanu w Dąbrowie. Produkcja kopalń węgla i kruszcu podniosła się niezmiernie. W pierwszym roku kopalnie dały 108,000 korcy twardego i 59,000 miążkiego węgla, a huta miedziana w Białogórach przyniosła narazie 107 centnarów miedzi i 23 grzywny czystego srebra, w roku zaś 1818 600 centnarów miedzi i 500 grzywien srebra.

Przy tak szybkim wzroście ekonomicznym kraju nie we wszystkich jednak względach stan ekonomiczny był zadawalniającym.

Włościanie i duchowieństwo byli w tak smutnych materyalnych okolicznościach, że wpływ ogólnego dobrobytu zaledwie znośną ich egzystencję czynił. Z 1755 probostw, tylko 276 posiadało około 1,000 zł. p. dochodu rocznego, reszta żyła prawie w nędzy. 287 parafii unickich posiadało daleko mniej i dla tego też taki stan opłakany wymagał koniecznej zmiany.

1818 r. założono 3 opactwa, 11 koligiat i 45 klasztorów, mających skupiać przedstawicieli duchowieństwa i wyrównywać różnice materyalne pomiędzy jednym probostwem, a drugim, usunąć zawiść i niezadowolenie jednych, oraz podnieść poziom intelektualny i etyczny drugich. Tak więc i w tej dziedzinie życia narodowego poczyniono pewne ulepszenia.

Na ogólnym tle względnego dobrobytu, przy politycznej równowadze, spokoju, a porządku zaczęło się społeczeństwo polskie budzić powoli z długotrwałego letargu, z przymusowej niemocy, po świetnych Napoleońskich czasach.

Mając zapewniony byt, mając spokój w kraju, mając osobiste prawa na jaknajszerszych zasadach konstytucyjnych osnute, naród poczuł że żyje, że jest, że ma prawo do szczęścia i sławy. Poczuł więc w sobie niepożyta moc i zaczął snuć dawne marzenia o lepszej, jaśniejszej przyszłości. Ogólny podniosły nastrój stworzył jaknajlepsze pole do rozwinięcia oświaty, nauki, literatury i sztuki.

Minister oświecenia i spraw religijnych St. Potocki, z niepowszednią znajomością rzeczy zabrał się do dzwignięcia oświaty w kraju. Liczba szkół elementarnych wiejskich i miejskich, (podług Raportu o czynnościach Rządu) wzrosła od liczby 743 do liczby 867, a liczba uczni od 23,000 do 27,985.

W Warszawie w 1817 r. 1-go marca był ufundowany uniwersytet. Pierwszym rektorem został mianowany Swieykowski, a biblioteka została otwartą wraz z 50,000 tomów dzieł naukowych (z liceum Warszawskiego), a zbiory uniwersyteckie na wstępie liczyły już 80,000 miedziorytów (po St. Augustie). Katedry zajęli najlepsi profesorowie i uczeni swego czasu, uniwersytet stał się środowiskiem życia nauko-

wo-społecznego. Zawdzięczając księciu A. Czartoryskiemu również świetnie stał okręg naukowy Wileński, ze sławnym uniwersytetem, rektorem którego był od 1807 r. Jan Śniadecki.

Oprócz zakładów wyższych i niższych były jeszcze szkoły średnie, mianowicie: 10 wojewódzkich, 17 wydziałowych i 16 podwydziałowych, liczba uczniów w tych szkołach wzrosła pomiędzy rokiem 1815 a 1818 od 5,811 do 7,584. Cyfry te świadczą wymownie o chęci do nauki i o zrozumieniu jej znaczenia i konieczności.

Mówiąc o oświacie i wykształceniu, zwróćmy uwagę na towarzystwo „Przyjaciół nauk“, które zapoczątkowane przez Stanisława Sołtyka w pijarskiej klasztornej bibliotece, rozwinęło się w wspaniały wytwór najpierwszych umysłów współczesnej Polski, stało się ogniskiem nauki i literatury jakby akademią Warszawską.

Mówiąc o literaturze, musimy powiedzieć o tem, jak potężnie rozkwitała ona w epokę dziejów Księstwa Warszawskiego. Takie nazwiska jak Staszic, J. U. Niemcewicz, Ludwik Osiński, Fredro, Alojzy Feliński, Wężyk, Koźmian, Linde, Brodziński, Śniadecki i wielu, wielu innych i jako ostatnie tło tej epoki, jako chluba i kochanie nasze, wielcy mistrzowie polscy, ojcowie poezji i romantyzmu polskiego: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i ich brać młodsza, a dla nas niedościgniona: Zaleski, Gaszczyński i Malczewski.

Co znaczą te wielkie nazwiska wie każdy z nas, kto choć trochę ojczyznę i jej literaturę ukochał. Jednak nie rozpraszając uwagi na twórczości poszczególnej mistrzów, można scharakteryzować działalność ich na polu literackim, jako nową krucyatę, jako krucyatę XIX wieku, krucyatę myśli, podboje w sferze życia duszy, serca umysłu.

Przez swych wielkich myślicieli i poetów Polska głosiła całemu światu miłość i prawdę, zaznaczała przynależność swoją do dorobku kulturalnego Europy, swój w nim nie mały, a chwalebny udział. Przez usta kapłanów nauki i literatury mówiło — uczone społeczeństwo polskie „cogito ergo sum“.....

Pozbawiony kajdan szeroko rozwijał skrzydła nasz białopióry ptak i z dumnie wzniesioną głową mierzył spokojnie swych zdradzieckich wrogów. Myśl polska potężniała, rosła, błyszczała rozumem, poezją i siłą. Nie było granic dla jej podbojów i coraz szersze zataczała kręgi, coraz dalsze obejmowała horyzonta.

Życie polityczne przybierało formy spokoju i porządku, drapowało się w powagę i uznanie ogólne. I zdawałoby się że nic nie może zamącić tej harmonii i ciszy wspaniałego ludu.

Pierwszy sejm zwołany w 1818 r. obradował względnie spokojnie i celowo. Nawet niefortunne wybranie marszałka, mianowicie W. Krasińskiego nie przyniosło wielkiego do kraju uszczerbku.

Stała partya opozycyjna z Niemojewskim na czele, stawiała pewne zarzuty ministrom, lecz naogół obrady przeszły spokojnie i Cesarz Aleksander łaskawemi, pełnemi obietnic słowami pożegnał Warszawę.

Już w epoce pomiędzy pierwszym a drugim sejmem, dają się odczuwać pewne niedoskonałości ustroju K. Polskiego. Brat cesarski Wielki ks. Konstanty, naznaczony głównodowodzącym 80,000 wojska polskiego, nie tylko postępował bezwzględnie i wyzywająco z wojskiem i oficerami wyższymi, lecz stale wtrącał się do wszystkich spraw rządowych i paraliżował władze autonomiczne. Na postęпки W. ks. Konstantego zwracał uwagę cesarza ks. A. Czartoryski, zwracał uwagę ze swej strony i Nowosilcew, a nie wpływało to wcale na dalsze postępowanie W. Ks., które Warszawę do rozpaczy doprowadzało.

Gwałtowny, dziki, tyranizował cały kraj, bez względu na dobry w gruncie charakter, na przywiązanie do polaków, na to, że się dla Polki Joanny Grudzińskiej korony rosyjskiej zrzekł.

Oprócz wybryków W. Ks. Konstantego, na pewien ferment w społeczeństwie miały wpływ i ruchy wolnościowe w Europie.

Studenckie wystąpienie w Wartburgu, ogólny prąd liberalny, który zawładnął niższemi warstwami Państw Europejskich znalazł odźwięk i w pewnych warstwach społeczeństwa polskiego. Jednocześnie z tak niepewnym nastrojem w Królestwie i osobiste poglądy Cesarza Aleksandra uległy nagłej zmianie. Nie był to już ten konstytucyjny monarcha, którego deputacyi polskiej w Paryżu 1816 r. mówił:

„Żywo jestem przejęty uczuciami, które mi naród polski przez Wasze usta wyraża. Zapewnijcie go z mej strony, że tylko jedno względem Was powodowało mną prawidło: a tem jest narodowość Wasza. Łącząc naród wasz z drugim narodem wspólnego słowian szczepu, zatwierdzam pomyślność i spokojność Waszą. Widzieć Was szczęśliwymi będzie dla mnie największą nagrodą“.

Nie był to ów wyrozumiały król, co się w czasie pierwszej bytności w Warszawie, z narodem swoim bratał, nie był to już liberalny ojciec ojczyzny, lecz dumny i zawzięty wróg postępu, obrońca absolutyzmu, stróż praw monarchicznych i zasad wstecznych śródwiecza.

Jadąc na sejm do Akwizgranu, dla wspólnej narady z monarchami nad zgnieceniem wolnościowych ruchów, nie miał już Aleksander dla Polski ani łagodnego oblicza, ani poczciwych słów.

Pomocnikami cesarza stali się tacy ludzie jak Parro di Borgo, jak Strudz. Pani Krüderer, Pani Roksanda Strudze jaknajsumienniej wpływały na cesarza! Głuche wieści o tych represywnych postanowieniach, jakie powzięto w Akwizgranie, zaczęły pomału przenikać do Polski. W Nr 86 „Gazety codziennej narodowej i obcej“ bardzo oględnie po-

wiadomo społeczeństwo, o rozszerzeniu cenzury, o ograniczeniu praw autonomicznych. Naogół zaczyna się w kraju pewien złowrogie ferment i coraz jaskrawiej, coraz ostrzej występuje społeczeństwo przeciw ogólnie reakcyjnej polityce.

Jak z małych, napozór nic nieznaczących rzeczy wynikają poważne następstwa w chwilach przełomu i napięcia, wskazuje następujący fakt. W Warszawie na estradę francuzkiego teatru jedna z aktorek p. Philis (w r. 1819) wyszła z cukierkiem w ustach i gryząc nie wyraźnie swoją rolę wypowiedziała, za co ją publiczność wygwizdała. Nazajutrz ukazało się rozporządzenie namiestnika zabraniające gwizdania w teatrze. Z tego powodu zaczęły się w gazetach polemiki, trącające nieraz w struny polityczno-osobiste. Za karę jedna z gazet została zawieszona, to wywołało jeszcze ostrzejsze wystąpienie prasy, które zmusiły namiestnika poddać wszystkie pisma pod cenzurę.

Taką była geneza—ogromnej wagi—faktu zaprowadzenia cenzury, rozkazem namiestnika z dnia 22 maja 1819 roku.

Pakt ten był znamionym, bo drogą administracyjną ograniczał swobody konstytucyjne.

Spółeczeństwo oburzone postępowaniem Aleksandra, oburzone postępowaniem Namiestnika i Nowosilcewa, oraz W. Ks. Konstantego, coraz przychylniej dawało baczenie na to, co się w Europie działo i przejmując hasła postępu i liberalizmu dało wyraz poglądom swoim w Sejmie 1820 r.

Sejm ten burzliwy i opozycyjny wywołał niezadowolenie cesarza i jego strofującą mowę. Rozdźwięk pomiędzy Aleksandrem a Polską przybierał coraz konkretniejsze formy, rósł, stawał się złowrogim, groźnym.

Coraz większą powagą i autorytetem zaczęły się cieszyć związki masonskie, na czele których stał sam minister St. Potocki, oraz związki akademickie młodzieży wileńskiej: Filaretów, Filomatów i Szubrawców.

Niezadowolenie rosło i przyszedł rok 1824, w którym społeczeństwo musiało sądzić swoich własnych synów.

Wielki proces wytoczony przeciw Łukaszańskiemu i jego towarzyszom, był hasłem do tworzenia się coraz nowych związków.

Senat, który obowiązany był sądzić związkowców, był w pozycji tragicznej—bez wyjścia. Rozumiano powszechnie, że osądzenie winnych, będzie zarazem osądzeniem tego ruchu, który oni reprezentowali.

Rozdźwięk pomiędzy senatorami z tego powodu i jawna opozycja wykazały jak całe społeczeństwo sprzyjało ideom przez związkowców głoszonym.

Ze względu na te stałe objawy opozycyjnego charakteru sejmu, cesarz w roku 1825 w lutym wydał artykuł dodatkowy do konstytucyi, znaczący jawność obrad sejmowych.

Artykuł ten kontrasygnowany przez K. D. Lubeckiego był, według zdania, Karnowicza, głównym i wyraźniejszym powodem rewolucyi 31 r.

Tu występowały w całej okazałości braki postanowień Kongresu Wiedeńskiego. Żadnych praw, żadnych stałych i pewnych podstaw bytu publicznego, wszystko na podstawie osobistego poglądu cesarza, wszystko od jego woli zależne.

Te punkta postanowień Kongresu Wiedeńskiego, tworzące lukę we wszelkiej Konstytucyi nadanej Kongresówce, spowodowały to, iż naród ze strachem i oburzeniem patrzył w kierunku tronu północnego, ze zgrozą myślał o tem, co go spotkać jeszcze może w dalekiej niepewnej przyszłości.

Gdy stracono wiarę w Konstytucyę, gdy zatem stracono wiarę w Aleksandra, znów został naród Polski sam, znów w swoje tylko musiał dufać siły. Śmierć cesarza Aleksandra bardziej jeszcze skomplikowała sytuacyę. Z nim, w każdym razie łączyła Polskę pamięć lepszych, szlachetniejszych lat jego panowania. Nowy zaś cesarz Rosyi, nieufnością tylko przejmował serca polaków. Jednak, z wyjątkiem zajęcia z powodu sądu nad spiskowcami, bardziej ostrych konfliktów nie zachodziło i koronacja Mikołaja na Króla Polskiego odbyła się spokojnie i zgodnie w Warszawie, przy obecności masy gości zagranicznych i przedstawicieli osób ukoronowanych. Mikołaj I w mundurze generała polskiego przychylnie rozmawiał z przedstawicielami narodu i obiecywał prowadzić nadal politykę zmarłego brata.

Pomimo jaknajlepszych, napozór stosunków z dworem Petersburskim sejm 1830 r. dał wyraz nurtującym społeczeństwo polskie ideom. Projekta rządowe zostały odrzucone, opozycja coraz większego nabierała znaczenia. Do komisji weszli tacy ludzie jak Lelewel, Ostrowski, Borykowski. Cesarz wyrażał swoje niezadowolenie, W. Ks. Konstanty używał swego wpływu, nic jednak nie mogło powstrzymać biegu historycznych faktów, które impulsywnie, jeden za drugim zbliżały katastrofę, zbliżały dzień rewolucyi 1831 r.

Naród zawiedziony w swoich nadziejach, pozbawiany systematycznie praw i przywilejów, czuł, jak z każdym rozporządzeniem cesarskim stacza się w ciemną przeraźliwą otchłań łez i niedoli.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że kompletne zniesienie konstytucyi jest tylko kwestyą czasu.

Rozgoryczenie rosło i pobudzany przykładem Europy, lud łączył się w tajne związki, skupiał koło starych, postrzępionych w tyłu bojach, sztandarach, nucił pocichu zapomniane bojowe piosenki.

Tradycje rycerzy zwycięzców żyły w piersiach społeczeństwa polskiego, więc nie mogąc nic wskórać drogą prawną, chwytało się za kosa, broń palną i sieczną, szczękano w stal i czekano hasła do boju. Jak ocean burzony wichrem, z groźnym pomrukiem o brzegi rozbija swe fale i z jękiem, a złowrogim szeptem znów się uspokaja i groźnie łyska szafirem swych bezdennych wód, tak i naród polski tylokrotnie rozbijany o mur bagnietów nieprzyjacielskich, burzył się i do nowej przygatywał walki „Za naszą i waszą wolność“!

Konstanty Skrzyński.

*

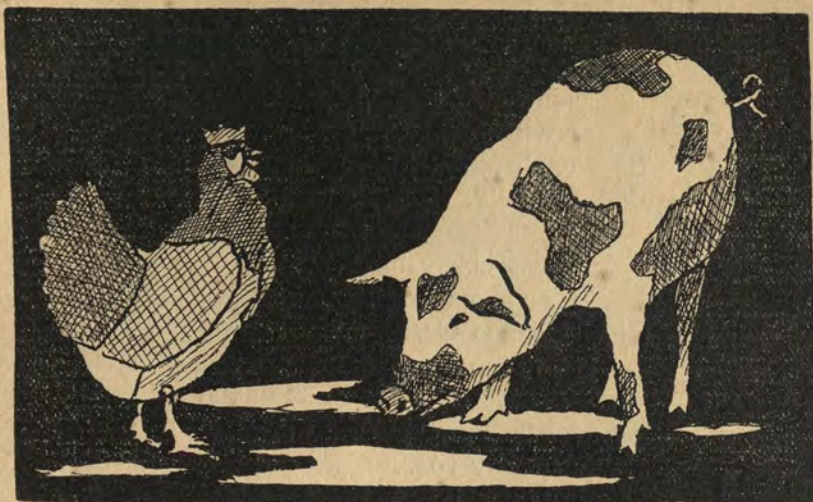
*

*

Po jeziorze lazurów,
Wśród wspaniałych fal,
Szybko płynie łódka moja
W nieskończoną dal.
Mkną w zawody z naszą łódką
Roje białych mew,
Patrzę w oczy mej dziewczynie,
W żyłach tętni krew.
Łódka mknie po wód głębinie
Chyżo jako ptak!
Och, przez całe moje życie
Chciałbym płynąć tak!
Lecz rozwiało się me szczęście
Po tym świecie hen!
Moich marzeń złota przędza
Znikła jakby sen!
Poleciałbym na kraj świata
Hen aż za sto mil.
By powrócić choćby we śnie
Jedną z takich chwil!...

Wiktorya Lewińska.





KURA I ŚWINIA.

(BAJECZKA DLA GRZECZNYCH DZIECI).

Raz na śmietniku spotkały się świnia bura i kura:
Świnia ryjem (a świnia zjadła!)
Szukała pośród śmieci obierzyn i padła;
Kura zaś dumnym wzrokiem przeszywała śmiecie,
Mecz co szukała — nie wiem i wy — też nie wiecie,
Więc świnia pyta, ogon kręcąc w kółko:
„Powiedz, co szukasz droga przyjaciółko?”
A kura na to odpowie pomału:
Szukam drogich kamieni złota i kryształu!

Wśród nas też każdy bliźniego wymieni,
Co szuka w śmietniku szlachetnych kamieni.

Kijów, Marzec 1909 r.

W. Staniszewski.



PAMIĘCI I. P.

Był cichy ciepły maj,
Kwitnęły bzy,
Błyszczały na nich srebrne
Kropelki rosy — łyzy.

Księżycyca srebrny blask,
Czarowna noc...
I jakaś senna cisza...
I przecudowna moc.

Szły jasną, letnią necą
Zapachy róż...
Kapały się w jasności
Wieczornych złotych zórz.

A ja szłam między kwiaty
By o nim śnić.
I w przedwieczornej ciszy
Snuła się marzeń nić.

Wspomnieniem wtedy ku mnie
Od naszych pól,
On spływał by na chwilę
Uciszyć duszy ból.

Szedł w srebrny płaszcz odziany,
Utkany z mgły.
A w jego jasnych oczach
Błyszczały smutku łyzy.

Kładł rękę na mem czole,
I śpiewał pieśń bez słów,
A w moją biedną duszę
Wstępował pokój znów.

Wanda Lewińska.





* * *

Kochać — to znaczy i duszę i serce
Bez wahań rzucić na przeznaczę szalę.
Kochać—to znaczy żyć w ciągłej rozterce
Wpleść w tkanę szczęścia — radości i żale.
Kochać—to znaczy być wiecznie ofiarą,
Być niewolnikiem i sługą i panem,
Pić łyżę i rozkosz i ból jedną czarą,
I wiecznie gonić za szczęściem różanem.
Kochać to wiele. Tak, to bardzo wiele,
W jedno uczucie przelać duszę całą,
Własnego Boga mieć w własnym kościele.
Kochać—to wiele... a jednak zamało.

Stanisław Czosnowski.



STEPY.

Dawniej, gdy stepy na powierzchni ziemi
Były domostwem skołatanej głowie,
Człowiek w nie krył się z myślami swojemi,
Znajdując siły, chęć życia i zdrowie.

Dziś w stepy duszy
Gdy jaźń nasza wkroczy,
To nigdy szczęścia
Swojego nie zoczy...

Maryna Cramer.



PRZECZUCIE UPADKU POLSKI W „KAZANIACH SEJMOWYCH“ SKARGI.

Polska chyli się ku upadkowi... Daremnie upominają ją księża i kaznodzieje, daremnie wołają mówcy polityczni, daremnie odzywają się głosy śmiałe pisarzy i poetów, przez wieki całe.

Wszystkie dowody, argumenta, prośby, błagania i zaklęcia były zużyte, przemawiano i w imię ojczyzny i potomności, obowiązku, sumienia i honoru—wszystko przebrzmiało bez echa, nikt się nie zwrócił z tej drogi, która wiodła wprost ku przepaści.

I oto podnosi się ostatni głos, ostatnie zaklęcie w imię już nie honoru, nie obowiązku—ale w imię najwyższych praw, najwyższej powagi—w imię Boga.

Głosem tym są „Kazania Sejmowe“ Skargi.

Nie walczy on już, jak jego poprzednicy z grzechami jednostek względem siebie samych, ale powstaje jako groźny stróż sumienia całego narodu, jako prorok nieznannej przyszłości.

Tem też daje się tłómaczyć, dlaczego właśnie ten głos proroczy wyszedł ze środowiska duchownego, katolickiego.

Gdyż: „zbawcze słowo ratunku, mówi Tarnowski, ten tylko może nosić w łonie, kto sam ma pojęcie i żywotną organiczną siłę jedności“.

To właśnie pojęcie organicznej siły, jedności nosiło w sobie duchowieństwo katolickie i niewielka garstka oświeconych Polaków, którzy byli jedynie zdrową i niezarażoną częścią całego narodu. Gdyż

jasnem jest, iż nie mogło wydać Skargi, takie środowisko zepsucia i zgnilizny, jakim była ówczesna szlachta, na której czele stali tacy Zborowscy i Zebrzydowscy, ani go mogli wydać panowie, biernie przyglądający się upadkowi ojczyzny, ani też lud — ciemny i śpiący snem kamiennym w nędzy i ucisku.

Spółceństwo polskie nurzało się w błocie rozterek, nienawiści, prywaty i innych przywar i daremnie odzywały się w nim wszystkie głosy nawołujące o poprawę — były one głosami wołających na puszczy.

„Niezrozumiałym jest dźwiękiem
Głos wołający w pustyni;
Śpią dalej na łożu miękkim.
I nikt pokuty nie czyni“.

Czyż taki sam los miał spotkać tego, kto przemawiał do duszy całego narodu, kto się z nią zespolił i łzami krwawymi płakał nad upadkiem Rzeczypospolitej, tego — kto wszystkimi siłami starał się dźwignąć ją w górę?

Niestety — tak! — „wszyscy przyjmowali i dziękowali, co się z Boga i życzliwości ku ojczyźnie a miłości ku nim mówiło“, ale na tem koniec.

Spółceństwo brnęło dalej w swych wadach, nie dlatego nawet, żeby „Kazania Sejmowe“ nie wywierały nań żadnego wpływu, ale wprost z tego powodu iż było ono za słabe by się poprawić, za mało miało siły woli, by wrócić na drogę cnoty i obowiązku.

Więc zrozpaczony Skarga, tak wołał do Pana swego: „Nie wiem czem się dzieje iż nie pomaga im poselstwo Twoje i wołania moje; do pokuty rzadki który powstaje; twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrem żniwie nie znać; chytne ryby, od sieci Twojej uciekając, poimać się nie dają“.

Lecz nie zważał Skarga na tą obojętność otaczającą go, wylewał swe cierpienie, które się w nim skupiło za naród cały, wylewał on swój cały ogrom uczucia, gdyż za miliony kochał i cierpiał katusze.

To też nie zadawał się on ogólnikami mglistymi lub stawianiem narodowi ideałów ze sfery jego życia, ale wytykał wszystkie błędy i grzechy narodu wprost, surowo i nieubłaganie. Sześć głównych chorób widzi Skarga, które toczą ciało Rzeczypospolitej:

„Pierwsza jest nieżyczliwość ludzka ku Rzeczypospolitej i chciwość domowego łakomstwa; druga — niezgody i rozterki sąsiedzkie; trzecia — naruszenie religii katolickiej; czwarta — dostojności królewskiej i władzy osłabienie; piąta — prawa niesprawiedliwe; szósta — grzechy i złości jawne, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od niego wołają“.

Pierwsze kazanie jest jakoby zapowiedzią, wszystkiego co się będzie w następnych mówił.

Tak na początku określa Skarga obowiązki i cel, wszystkich co się na sejm zebrali: „Zjechaliście się w imię Pańskie na opatrowanie niebezpieczeństw koronnych: abyście to, co się do upadku chyli, podparli; co się skaziło, naprawili; co się zraniło, zleczyli; co się rozwiązało spoiłi; i jako głowy ludu, braciej i członków waszych, jako stróżowie śpiących i wodzowie nieumiejętnych i świece ciemnych i ojcowie dzieci prostych, o ich dobrze i spokoju obmyślali“. Całe kazanie nosi na sobie cechę nadzwyczajnej powagi i wzniosłości, a zarazem prostoty, którą odznaczała się dusza Skargi, o której mówili iż była Simplex sicut columba. Myśl przewodnią tego kazania określił daleko później Krasiński następującymi słowami:

„Nikt nie stawia gmachu z błota,
A najwyższy rozum cnota“.

By nie kłęły na was wieki,
Że cel wieków — znów daleki!
Żeście w dumie, żeście w szale
Przewrócili losów szalę
I rozbili się na skale,
Kędy wiecznie się wyrodni
Rozbić muszą--bo na zbrodni“!..

„Miłujcie ojczyznę swoją“ woła Skarga w kazaniu drugim, a mówcie tak z serca z Dawidem:

„Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja, niech zapomnę prawicy ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich moich pociech nie położę“.

W tym kazaniu piętnuje natchniony kaznodzieja niedbalstwo w spełnianiu obowiązków względem ojczyzny i brak miłości ku niej, a piętnuje z taką znajomością natury polskiej, że mimowoli staje przed oczyma naszemi, obraz Polski XVII wieku, Polski chyłcej się ku zgubie.

„Miłość rodzi zgodę, a bez miłości zgody być nie może“. A w Polsce miłości i zgody nie było, żarły ją wewnętrzne niesnaski i spory, oblewał ją potok krwi wojen domowych. Przeciwno temu zwraca Skarga swój oręż, w kazaniu trzecim. Występuje on tu z całym ogromem zgrozy i oburzenia, a płomienną wymową stara się zwrócić Polskę na nowe tory.

Kazania czwarte i piąte skierowane są przeciwko niezgodom religijnym i herezyom. Lecz nie znajdujemy tu takiego zapału i natchnienia, jak się tego można było spodziewać, są one słabsze od trzeciego i pod względem siły i pod względem rozumowania.

W następnem kazaniu wyklada Skarga swe polityczne zapatrywania. Żąda tu on monarchii takiej, która „prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest, a moc swoją ustawami pobożnemi umiarkowaną ma“.

Kazanie siódme „o prawach niesprawiedliwych jest trochę za ogólnikowe, gdyż wylicza tu Skarga tylko część przewinień przeciwko prawu nie dając jasnego i całkowitego ich obrazu, lecz pomimo to nawet—robi silne wrażenie.

Koroną całego polskiego kaznodziejstwa, ostatnim wyrazem najwyższej miłości ojczyzny, niezmaconem zwierciadłem płomienistej duszy Skargi, jest kazanie ósme.

Serce każdego polaka zadrga silniej w łonie, po przeczytaniu tego arcydzieła krasomówna polskiego, a dusza odezwie się na ten okrzyk trwogi i boleści nad przyszłymi losami ojczyzny.

Zastanówmy się teraz nad tem, czem właściwie przemawia do każdego umysłu, czem zapala i porusza każdą polską duszę i serce.

Dla osiągnięcia tego pierwszego niezbędny jest warunkiem, zniechęci słuchacza, by uwierzył w prawdę słów kaznodziei.

Skarga posiada dar ten w najwyższym rozwinięty stopniu, gdyż całkowitem źródłem nauki zawartej w kazaniach Sejmowych, jest Pismo Święte i prawdy w niem objawione. Wszystko co Skarga mówi—mówi w natchnieniu, czyli od Ducha Świętego.

Lecz takie nawet autorytety, nie mogły zupełnie zadowolnić humanistów, którzy całą swą mądrość opierali na rozumie przyrodzonym, uważając go za najwyższą powagę. To też Skarga wprowadza w swe kazania, dowody czerpane z rozumu czysto przyrodzonego, najczęściej z mądrości starożytnej, która u humanistów była poczytywana za szczyt i ideał, ku któremu trzeba dążyć. Wszystko zaś łączy Skarga w całość idealnie logiczną, jasną i skryzalizowaną, czem czyni swe wywody niezbitymi i przemawiającymi wprost do umysłu człowieka.

Lecz kazaniem swemi „tyran dusz ludzkich“ przekonuje nie tylko rozum—on pociąga za sobą i serca, zmuszając je dążyć za sobą w krajny nadziemskiej boleści lecz i dobroci zarazem.

Tak mówi o tem Chrzczanowski w swem studjum o kazaniach sejmowych: „Cóż chwyta w nich za serce? Przedewszystkiem — własne serce Skargi, to serce wielkie o którym śmiało można powiedzieć, że kochało i cierpiało za miliony. On nie kryje się z niem, nie tai się ze swemi uczuciami; widać jak on bardzo ukochał tego Boga, w którego imię przemawia i tę ojczyznę „matkę najmiłszą“, do której ratowania, bogów ziemskich wzywa“. Tych bogów ziemskich Skarga całe swe życie wzywa i nadaremno,—serc nieczułych na losy ojczyzny nie mógł poruszyć, gdyż były one w tej swej nieczułości, wprost zakamie-

niałe. I to staje się tragedją życia wielkiego kaznodziei, przyczyną rozpacz i mąk.

Uczucie to, ta nadzwyczajna miłość ojczyzny, bez granic prawie, gotowa na wszystkie możliwe ofiary i poświęcenia, rozrywająca piersi Skargi, chwyta tak za serce każdego słuchacza, a rozpacz jego i smutek zmuszają to serce nienawidzić nieczułych „bogów ziemskich“ głuchych na wszystkie klątwy i błagania Skargi.

I miłość ta Skargi czyni to iż stoi on, ponad wszystkimi politycznymi partjami w Polsce, „nie wyobraża z nich żadnej, mówi Mickiewicz w swej literaturze słowiańskiej, odbija się w nim cały kraj, cały naród ze swą przeszłością, terażniejszością i przyszłością nawet. Rodziną Skargi była Polska“. Lecz nie tem jedynie porywa Skarga wszystkie serca, wpływa na to i cudowna forma jego kazań, „która przyszła do nich nieproszona, jako wypływ silnego i gorącego uczucia“, ujście jego niesłychanej miłości ojczyzny.

Lecz w „kazaniach Sejmowych“ znajdujemy jeszcze coś, co robi na słuchaczy piorunujące wrażenie, przemawia do całego jestestwa, elektryzuje duszę jednostki, najmocniej wrywa się w pamięć. Jest to najsilniej drgająca w kazaniach nuta—nuta zapowiadająca nieunikniony upadek Polski. W tym wypadku występuje Skarga z niesłychaną siłą i mocą, ciska ze swej kazalnicy groźby i proroctwa, płynące z jego duszy oczyma przenikającej wieki. I jakim że był ten los który przedstawiał Skarga słuchaczom, jaką była przyszłość którą ten los gotował. Czy miał to być może, ciąg dalszy tego nierządu w którym Polska była pogrążona, tej złotej wolności szlachty, lecz zato nieszczęścia i poniżenia ojczyzny?—o, nie! Za ciężkie grzechy i przewinienia groziła Polsce kara straszna, lecz zupełnie zasłużona.

Głosy prorocze brzmiały w polskiej literaturze już zaczynając od wieków średnich, w których roilo się od proroctw astrologicznych, a później mistycznych. Lecz dopiero w XVI wieku, smutna rzeczywistość pobudziła wielu pisarzy, do wołania o ratowanie ginącej ojczyzny, do przeczuc o jej prędkim upadku. I nietylko jednostki, lecz i ogół zaczął się budzić ze swej drzemki, zaczął przeczuc zły koniec całej tej złotej swobody i używania. Świadczą nam o tem i Orzechowski i Heidenstein.

To też element proroczy u Skargi zupełnie nie jest zjawiskiem pojedynczym, a odpowiada nastrojowi ogółu. „Jak kazanie o miłości ojczyzny, pisze Chrzanowski, jest najpiękniejszym kwiatem literatury patriotycznej tego stulecia, tak proroctwa w kazaniach Skargi o zgodzie domowej i grzechach jawnych są najwspanialszym i najgroźniejszym wyrazem tego dręczącego niepokoju o przyszłość, który ogarniał najszlachetniejszych i najrozumniejszych ludzi XVI wieku na widok wzrastającej anarchii“.

Największą przyczynę wszystkich nieszczęść ojczyzny, widzi Skarga w niezgodzie. To też skutki jej mają być straszne: „I ta niezgoda przywiedzie was w niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obróca, i będzie jako mówi prorok: „Sługa równo z panem, niewolnica równo z panią swoją i kapłan z ludem, i bogaty z ubogim, i ten co kupił imienie równy z tym co sprzedał“.

Tak wołał Skarga przed upadkiem Polski to, co po nim wyrzekł Słowacki:

„Polsko, lecz ciebie błyskotkami ludzą,
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą“.

„Ziemia i księstwa wielkie, które się z koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą. I będziecie, jako wdowa osierociała, wy coście drugie narody rządzili. I będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim. I w obcy się naród, który was nienawidzi obrócić“.

„Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami, tam gdzie was pierwaj ważono będą“.

Tu zwraca się z rozpaczą ku słuchaczom: „Urodzi się li wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę stracie, już o drugiej nie myśleć“.

Teraz przechodzi Skarga od oskarżenia do wyroku, który wydają czterej prorocy Izajasz, Jeremiasz, Ezechiel i Jonasz. A wyrok to tak straszny, że serce samego oskarżyciela zmienia się w jedną krwawiącą ranę, gdyż zaiste zamało jest lez całego świata by taką stratę oplakać.

„Co mam z tobą uczynić nieszczęśliwe królestwo? Kto głowie mojej doda wody i źródłu lez oczom moim, abym oplakał pobicie ojczyzny i narodu mego. Gdybym był Izajaszem chodziłbym boso i na poły nagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu Bożego. Tak was złupię i tak łyskać lystami będziecie, gdy nieprzyjacioły na głowy wasze przywiedzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda...“

Gdybym był Jeremiaszem, wołałbym na was grzeszne, jako on wołał:

Tak spętają pany i popędzą jako owce w cudze strony, popsuje się i w niwecz obróci, i w dym a perzynę pójdzie chwała wasza, do statki i majątności wasze—jedni poginiecie głodem, drudzy od miecza, a trzeci się po świecie rozproszycie“...

W tak to strasznych barwach rysuje nam Skarga obraz upadku Rzeczypospolitej. Niestety te przerażające wróżby aż dotąd sprawdziły się wszystkie co do słowa.

Jedyną pociechą po groźbach tak strasznych, jedynym promykiem nadziei przeświecającym przez ten całun boleści i rozpacz, są następujące prorocze słowa Skargi: „Bóg ożywi nas i po dwóch dniach, a trzeciego dnia wzbudzi nas“. I więcej nic, żadnej najmniejszej iluzji co do szczęśliwej przyszłości, żadnej nadziei na przyszłe odrodzenie, żadnej jasno obiecannej nagrody za wieki mąk i nieszczęść.

Dzień pierwszy żałości zaczął się już dawno i trwa i trwa. Ale czy zaczął się już dzień drugi — poprawy, czy wschodzi już na horyzoncie nowe słońce odrodzenia, czy możemy zawołać razem z Kopnicką:

„Ach, wschodzi! Ach idzie srebrzystych pian wałem,
Ach ściele się w przyszłość jaśniejsza nam droga!
Hej! w górę tam serca! Niech duchów załoga,
Porannym w świat zabrzmi hejnałem“!

I nie przyjdzie dzień trzeci, póki się drugi nie skończy, gdyż nie może być nagrody, póki pokuta nie będzie całkowicie odprawiona, póki nie nastąpi poprawa. Wszystko co prorokował Skarga, wiernie się spełniło, wierzmyż także i w przyjście tego dnia trzeciego, wierzmy iż nastąpi na koniec dzień zmartwychwstania i odrodzenia.

Rzućmy teraz okiem na postać księdza Skargi, przyjrzyjmy się jego gołębiej duszy i płomiennemu sercu.

Treścią całego życia Skargi było kaznodziejstwo i chęć ratowania tonącej ojczyzny—temu on poświęcił całe swe życie.

I śmiało powiedzieć można iż spełnił on ideał kaznodziei i patrioty. Jako mówca nie ma on sobie równego, nie tylko pomiędzy kaznodziejami polskimi ale też i całego świata.

Co do patetyczności i niesłychanej potęgi kazania Skargi postawić można narówni z najwspanialszemi Filippikami i Katilinariami. Co do piękności formy i stylu Skarga dorównuje Bossuet'owi i Massillon. Co do zapału i natchnienia, kazania jego śmiało porównać możemy do kazań Dżirolamo Sawanaroli.

Lecz pod pewnymi względami wszyscy ci mistrze słowa, stoją od Skargi niżej. Skarga był prorokiem, czuł posłannictwo od Boga, gdy Bossuet był tylko artystą, który z całą umiejętnością potrafił wykorzystać wszystkie tajemnice i efekta swojej sztuki. Skarga był ideałem patrioty. To też kazania jego są natchnione taką płomienną miłością ojczyzny, a zarazem taką prostotą, której ani Filippiki, ani Catilinarii nie posiadały i posiadać nie mogły.

Skarga był ideałem chrześcijańskiej pokory i gołębiej prostoty, o czym świadczą całe jego życie, gdy tymczasem Sawanarola nawet

w godzinę śmierci nie mógł przebaczyć Lorenzo de Medici jego win i skazał na straszną hańbę nie wpuszczając do jego rodzinnego miasta.

Takim był Skarga jako kaznodzieja i obywatel. Główną zaś cechą charakteryzującą go jako człowieka jest niesłychana dobroć, dobroć umiejąca przebaczać najzaciętszym wrogom, dobroć krusząca nieprzewyciężone mury, dobroć otaczająca go aureolą świętości.

Jeszcze jedna cecha charakteryzująca nam osobistość Skargi, jest nią nadzwyczajna, ewangelijna skromność. Oto ten, którego słowa prorocze sprawdzają się później całkowicie, kto był dobrym duchem całego narodu, kto miał posłannictwo od Boga, tak mówi sam o sobie: „ja szczególnego objawienia nie mam“.

Takie to przymioty złożyły się na stworzenie charakteru księdza Piotra.

Jak czas wykazał kazania Skargi na życie prawie żadnego wpływu nie wywarły, lecz zato w dziejach literatury i na kartach historii pozostaną one wiecznymi. W nich Skarga wznosił się na wyżyny nie doścignione, tworząc arcydzieło wymowy kaznodziejskiej, nie tylko Polski, ale i całego świata.

W nich my znajdujemy pomnik nieśmiertelnej głębokiej mądrości i gorącej miłości ojczyzny, natchniony głos proroka przepowiadający niechybną zgubę Polski—Jerozolimy. To też powtórzmy za Woroniczem:

„Jeśli chcesz być politykiem, czytaj Skargę, filozofem, czytaj Skargę, mówcą, czytaj Skargę..bo Skarga jest wszystkim dla wszystkich“.

Wojciech Kulikowski.





NENUFARY.

Zdaleka płynie pieśń gitary;
Na wodnem --- dziwnem ciemnem tle
Lśnią białe lilje — nenufary,
Księżyc promienie swoje śle.

Płyną gitary rzewne tony
Przez cichą — senną wodną toń.
Drzewa schylają swe korony,
Umilkły gaje, pole, błoń.

Z wód się podnoszą białe opary,
Płynie gitary smętny głos.
Białe lilje — nenufary
Odziane w srebrne krople ros.

Wiktorya Lewińska.





JESIENNE SYMFONJE.

Z ponad nurtów bystrej rzeki
Porwały się w świat daleki
Pieśni... Lecą w dal!

Płaczą lasy rozśpiewane,
Płyną pieśni rozelkane,
Lecą, płyną w dal...

A tęsknica na rozstajach
Głucho jęczy
Rozżalona na swą dołę,
Przez zoraną czarną rolę
Głos jej dźwięczy
W dal!...

Po przez szare puste drogi,
Po przez smętny kraj ubogi
Nuda kroczy:
Swe bezmyślne, trupie oczy
Zatopila w dal...

Idzie jesień zadumana,
Szatą srebrnych mgieł odziana,
Idzie cicho w dal...

Roztęskniony wiatr ją goni,
Żale swoje w pieśniach dzwoni..
Pieśni lecą w dal...

Wszystko skarży się dokoła,
Łzami deszczu wiosny woła,
Co odeszła w dal...

W zapomnieniu pogrzebane,
Wstają niegdyś ukochane,
Czucia budzą żal!...

Maryna Cramer.



RÓŻNICE POMIĘDZY TWÓRCZOŚCIĄ KOLLEKTYWNA A TWÓRCZOŚCIĄ INDYWIDUALNĄ.

Każdy naród czuje, myśli, cierpi i raduje się, a postępując naprzód ciągle zmienia swą formę, nie zmieniając ducha.

Zwierciadłem przejawów życia narodu jest jego twórczość. Nie wszystkie jednak warstwy społeczne narodu jednakowo, szybko postępują naprzód w swym cywilizacyjnym pochodzie: sfery wyższe rozwijają się szybciej, szybciej zrzucają dawne, przeżyte formy, niż warstwy niższe — lud. Toteż twórczość ludowa odzwierciadla w sobie życie przeszłe, a przez podania, obyczaje, pieśni i wogóle wyobrażenia ludu, możemy zajrzeć w tajemniczą dal przeszłości, uchylić zasłony minionych dziejów, przeżytych form.

Na zachodzie, za czasów pogańskich, poezya i wogóle twórczość ludowa rozwijały się bardzo pomyślnie. Świadczyć o tem może ogromne bogactwo w Niemczech najróżniejszych zagów, we Francyi pieśni śpiewanych przez trubadurów i truwerów.

W Polsce tymczasem daje się zauważyć, iż twórczość ludowa, pogańska jest ogromnie biedna—oprócz kilku podań o powstaniu narodu polskiego, nic prawie nie mamy. Ale nawet i w tak lichym dobytku twórczości ludu, odzwierciadliły się wszystkie zabobony i przeżytki tego czasu, z całą swą prostotą, a zarazem dzikością obyczajów.

Lecz zupełny w ludowej twórczości przełom następuje za rozpowszechnieniem się idei chrystyanizmu—idei, która świat cały zmieniła, odrodziła i odnowiła. Od tego czasu charakter ludowej poezyi zmienia się zupełnie—wnika w nią pierwiastek chrześcijański.

Ze sfer wyższych ten chrześcijański pierwiastek usuwa całkowicie prostotę i dzikość obyczajai, a także w pewnym stopniu to wielkie przywiązanie do tradycji i dawnych zwyczajów. Lecz idea chrześcijańska daje sferom wyższym co innego: ona zaszczerpia naukę i wyobrażenia zachodniej Europy, a zarazem rozwija i skierowuje na nowe tory twórczość indywidualną.

Ze sfer zaś niższych idea chrystyanizmu dawnych tradycji i obyczajai usunąć nie może, i lud te rodzime tradycje święcie czci i szanuje.

Ztąd też i powstaje w twórczości ludowej pewna pstrocizna, gdyż obok dawnych obyczajai przeżytków, pojawiają się teraz nowe idee — chrystyanizmu.

Z początku poetycka twórczość całych mas i pokoleń i twórczość indywidualna jednostki zlewały się zupełnie i długo płynęły korytem ludowej poezyi; dopiero zaczynając od chwili przyjęcia chrystyanizmu rozdzielają się one i płyną w różnych kierunkach.

Odtąd kwitną obok siebie dwie literatury: jedna ustna — rodzima, a druga pisemna, przywieziona z obcych krajów, która na drodze rozwoju wyprzedziła ogromnie swoją starszą siostrę, literaturę ustną.

O tej ostatniej tak mówi Biegeleisen w swej „Historji literatury“.

„Mniej wystawiona na obce wpływy literatura rodzima, rozwijała się samodzielnie, karmiona bólami duszy ludowej, kwieciem jej wyobraźni strojna, błyszcząca rosą serdecznego ciepła“.

Pod nazwą twórczości ludowej nie należy rozumieć twórczości całej massy—nie. Jak i zawsze, poezya ludowa miała swych twórców—poetów.

Poeta taki czując w sobie przyplływ natchnienia, ten dar niebios, wylewał go w formie pieśni, która podchwycona ustami ludu, szła wszędzie i wszędzie była znana. Poeta ludowy nie miał wcale ambicyi być poetą—autorem, on wylewał swe uczucia w napływie największego zapału, natchnienia, pod wrażeniem chwili bez żadnego uprzedniego przygotowania.

„Poeta ludowy, mówi Biegeleisen, nie bardzo swą indywidualnością odbiega od poziomu ogólnego. Jest on owszem, wyrazem uczuć, pragnień powszechnych. To jakby arfa eolska, w której odbijają się echa całej okolicy. I przeto poezycę ludową uważać należy za prawdziwe, niczem nie zmacone odbicie duszy społecznej“.

Skarbnicą zaś i ochronicielem takich utworów był lud. Dzieło ludowego poety, chociaż i nieznanego nikomu przechodziło z ust do ust, ze strzechy pod strzechę, z pokolenia w pokolenie; każdy coś do-dawał lub ujmował i tym sposobem stawało się ono wiecznem, zawsze żywem i pięknem, gdyż wzbogacanem przez coraz to nowe perły twórczości ludu.

Twórczość ludowa wyraziła się w najróżniejszych formach, z któ-

rych najczęściej znanymi są: pieśni, podania, przysłowia i baśnie. Przeglądając dobytek twórczości ludu, mimowoli rzuca się w oczy przeważanie utworów formy poetyckiej (po większej części rymowanych). Co za jasność, prostota, i melodyjność jest naprzykład w następującej odwiecznej ludowej piosnce:

„Graj pasterzu graj!
Bóg ci pomagaj.
Starsza siostra mię zabiła,
Młodsza siostra mię broniła“...

Formę taką obierali sobie zazwyczaj ludowi poeci, pod wpływem natchnienia, ich uczucia wylać się w innej formie wprost nie mogły. Trzeba też dodać, iż poczęści też forma poetycka, zrobiły to, że utwory te daleko łatwiej wrażały się w pamięć i nie mogąc zniknąć ze skarbownicy ludowej fantazyi stawały się one wiecznymi.

Jeżeli się zastanowimy głębiej, nad znaczeniem ludowej poezyi, to będziemy musieli przyznać, iż jest ono ogromnej wagi.

Twórczość ludowa towarzyszy narodowi w jego trudnym historycznym pochodzie, zawsze świeża i młoda przekonuje ona każdego o konieczności jakiegoś pierwiastku duchowego, jakiegoś dążenia do piękna, w codziennem, szarem życiu człowieka.

Poezya zaś ludowa Polski nosiła swój specjalny charakter:

„nie odzywały się w niej surmy wojenne, nie pieniały fale spienionych namiętności—nie kwitły lilie, krwawo zdobytych ideałów“.

Była ona wyrazem życia społecznego, w którym pomimo ciągłych domowych niesnasek, panowała cisza, niezmacona żadnymi burzliwymi przewrotami.

Przystąpmy teraz do wyprowadzenia najczęściej wybitnych cech i różnic twórczości ludowej i indywidualnej.

Język poezyi ludowej jest prosty i szczery, gdy tymczasem poezya indywidualna, ma najczęściej formę misterną czem robi wrażenie estetycznego piękna.

Przyczyną tego jest to, iż ludowy poeta, tworzy pod wrażeniem chwili, a więc nie chodzi mu zupełnie o piękną formę, o barwny styl—on dba tylko o to by wylać swe uczucia, wezbrane z powodu jakiejś zewnętrznej lub wewnętrznej przyczyny.

Twórca zaś indywidualny wylewa swe myśli i uczucia w formie zazwyczaj giętkiej i melodyjnej, która oddaje najsubtelniejsze odcienie. Poeta indywidualny może, jak naprzykład Owidiusz w swym „Potopie“, za pomocą wyrazów, mających najróżniejsze brzmienia, oddawać najrozmaitsze nastroje.

Poezya ludowa po większej części, zawiera w sobie uczucia bezpośrednie, proste i niezłożone, twórczość zaś indywidualna, obok gorących i silnych uczuć, może zawierać szlachetne i podniosłe myśli;

przykładem tego może służyć jaka—kolwiek ludowa piosenka i choćby „oda do młodości“, która jest katechizmem całej młodzieży polskiej, zbiorem najszlachetniejszych idei i porywów.

Oprócz tego prawie każdy indywidualny utwór, dąży do udowodnienia, czegoś takiego, co jest trudnem do uchwycenia wogóle, a wprost niemożliwem dla twórczości kolektywnej.

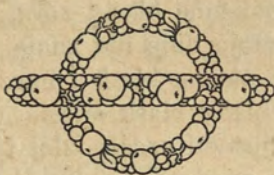
Idea, którą zawiera utwór oryginalny, jest zupełnie świadoma i jasna, gdy tymczasem idee utworów ludowych są najczęściej nieświadome i zamglone.

Pozatem, trzy pierwiastki: opisowy, liryczny i dramatyczny w poezji ludowej nie wyodrębniają się zupełnie, w poezji zaś indywidualnej, wyodrębniają się one zupełnie jasno, tworząc trzy rodzaje twórczości.

Z tego co było wyżej powiedziano, wynika też i najgłówniejsza różnica, pomiędzy twórczością kolektywną, a indywidualną. Pierwsza odzwierciadla w sobie duszę całego narodu, jego życie i obyczaje, gdy twórczość indywidualna maluje najczęściej duszę i charakter jednostek, lub też i życie ogółu, ale odtworzone tylko przez jednostkę (np. „Pan Tadeusz“).

Im więcej się naród rozwija, im na wyższym staje on szczeblu oświaty i kultury, tym więcej wydaje geniuszów - poetów, którzy są twórcami poezji indywidualnej. Ale narówni z udoskonaleniem się i rozwojem poezji i twórczości indywidualnej, wzrasta w swym rozwoju muza ludowa. Ona dalej pełni swe posłannictwo i odzwierciadla w sobie, stopień żywotności i siły narodu.

Wojciech Kulikowski.





TĘSKNOTA.

Przyszły chwile tęsknoty
I smutku bez końca,
Jak odbłask szczerozłoty
Gasnącego słońca.
Za niemi boleść mroczna
I rozpacz bez miary,
Jak głucha cisza nocna,
Mgły nocne, opary...
Mrok nocny rozpraszają
Promienne blaski zórz,
A moje dni nie znają
Nic okrom klęsk i burz —
Ni bładny blask miesiąca,
Ni jutrzni szczerozłoty
Nie zwalczą dni bez końca,
Dni smutku i tęsknoty.

Konstanty Skrzyński.



* * *

Perłowe dłonie
Na kwiatów skronie
Złożyła nocą jesienną,
Wstrzymała fale,
Co szemrzą żale,
By zajrzeć w głębie bezdenną.

Górskie potoki,
Niebios obłoki
Pokryła barwą opali...
Tchnieniem zmroziła,
Milczeć zmusiła
Wszystko co w smutku się żali.

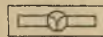
Na drzew korony
Przecudne szrony
Porozwieszała srebrzyste,
W północne zorze,
Jak w ognia morze
Przybrała śniegi puszyste.

Tu kryształowe
Sople lodowe
Dokoła porozwieszała,
Tam śniegów puchem,
Wichrów podmuchem
Góry, doliny zrównała.

Coraz to nowe
Baśnie tęczowe
Bory jej nocą szeptały:
O swojej doli,
O tem co boli,
O wszystkim co ukochały.

Lecz ziemi głosy
Hen pod niebiosy,
Same leciały do słońca,
Bo zima biała
Sen ukochała
I swoje dumy bez końca.

Maryna Cramer.



*
* *

Jest w życiu jedna tylko baśń tęczowa,
Jest tylko jedna ekstazy godzina,
Jest tylko jedna wszechmocna królowa,
Co przed oczami sny złote rozpina...
Później sen—bajka—cud w mgłę się rozplywa
A człowiek baśń tą miłością nazywa.

Kogo ta wróżka swym czarem opęta,
Przed kim tajniki swych cudów otworzy,
Komu się drogie mającą oczęta,
Komu dłoń białą na czole położy
I łuskom z oczu odpaść nie pozwoli,
Ten widzi szczęście w tem nawet co boli.

Błogosławiona niech będzie istota,
Którą tej wróżki wszechwładną jest panią
Błogosławiona niech będzie tęsknota,
Co sercu każe bić dla niej i za nią,
Błogosławione łez czystych strumienie,
Jeśli je serca wywołuje drzenie. .

Błogosławione niech będą te oczy,
W których się nowe odnajduje światy.
Błogosławiony ten uśmiech uroczy,
Który jak motyl przylata skrzydlaty
Błogosławione brwi łuki zagięte
I usta ślubów przysięgą zamknięte!

O śnie mój czarowy! Ty byłeś królem,
A jam był sługą pod twemi rozkazami.
Ty mnie poileś radością i bólem
I minutami nadziemskiej ekstazy,
Tyś był mi panem, władcą i szafarzem,
Byłeś mym bogiem razem i ołtarzem.

Lecz jeśli prześnił się sen mój uroczy,
I jeśli żyć mnie zmuszono na jawie,
Jeśli mi nigdy nie spłynie na oczy,
To cóż pokocham, cóż pobłogosławię?
Do czego modlić się będę w pokorze,
W co będę wierzyć, nim w grób się położę?

Jak ojciec, który. ostatniej dziecinie
Oddał przed chwilą ostatnią przysługę,
Tak ja, samotny w rozpacz godzinie,
Patrzę na słońca purpurową smugą,
Co się wydaje palającą strzałą
I myślę, że mi już nic nie zostało.

1. I. 1911 roku.

Stanisław Czosnowski.



UCZUCIA.

Uczucia bywają namiętne
Jak górskie burzliwe potoki,
Bywają spokojne i smętne
Jak białe na niebie obłoki,
Bywają jak tęcze promienne,
Jak jutrzni różowej odbicie,
Bywają niestałe i zmienne,
Bywają na śmierć i na życie.
To mienia się barwą opali
Swawolne, jakby dla zabawy,
To nutą tęsknoty się żali
I płynie ton smętny, a łzawy.
Bywają jak luny pożarne,
Jak bezmiar nieszczęścia i sromu,
Bywają zaś ciche ofiarne,
Bywają z piorunów i gromu..
Uczucia bywają namiętne
Jak górskie burzliwe potoki,
Bywają spokojne i smętne
Jak białe na niebie obłoki.

Konstanty Skrzyński.





ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH.

DRAMAT JANA KOCHANOWSKIEGO.

RZUT OKA NA JEGO POWSTANIE
I KRÓTKI ROZBIÓR TEGO UTWORU.

Rey wprowadził język polski do literatury rodzimej, Kochanowski zaś, język ten urobił, wykształcił i dał mu tę dźwięczność i prostotę, jakie cechują całą twórczość księcia poetów polskich. W samym już początku wstąpienia na arenę twórczości literackiej, zostaje nasz mistrz z Czarnolasu odczuty i zrozumianym, a Enneusz polski—Mikołaj Rey, składa lutnię poezyi w ręce Kochanowskiego, ze słowami:

„Temu przed sobą dank w nauce dawam
I pieśń bogini słowieńskiej oddawam“.

Kochanowski pochodził z niezamożnej rodziny szlacheckiej. O całej młodości naszego poety wiadomości nie mamy prawie żadnych, aż do wstąpienia jego do akademii jagiellońskiej.

W akademii Kochanowski długo nie bawi i wyjeżdża na dalsze swe studia do Włoch, a mianowicie do Padwy.

To przebywanie poety u źródła humanistycznej oświaty, u jej najjaśniejszego ogniska, grało ogromną rolę w twórczości Jana z Czarnolasu. We Włoszech Kochanowski nawskroś przesiąka ideami antycznego świata Hellady i Romy i staje się zapalonym jego wielbicielem. I nie ogranicza się on tylko na uwielbieniu klasycznego świata, a stara się go swem piórem wskrzesić i przetworzyć.

Włochy, w tym czasie, miały cały zastęp poetów piszących po łacinie i starających się odtworzyć poezję klasyczną. Takimi byli Trissino, Martelli, Speroni i wielu innych.

A że pisanie piękną łaciną otaczało poetów blaskiem sławy i popularności, nie więc dziwnego iż Kochanowski, poszedł z początku drogą, po której kroczyło tylu innych.

Przebywając dopiero we Francji, a głównie ulegając wpływowi Ronsard'a, przestaje Jan z Czarnolasu pisać po łacinie i zaczyna odtwarzać cały swój świat myśli i pragnień w mowie polskiej, starając się zarazem przełać na grunt ojczysty całą piękność i bogactwo literatury klasycznej.

We Włoszech kształcąc się pod kierunkiem takich uczonych i znawców tragedji greckiej, jak Robertelli, Genowa i inni, nabiera Kochanowski zamiłowania do tej formy twórczości i trzeba tylko było jakiegoś zewnętrznego bodźca, by pobudzić poetę do stworzenia pierwszej tragedji polskiej.

Mówię pierwszej, bo czyż możemy nazwać tragedją, średniowieczne misterya lub takie widowisko o Józefie Reya, będące tylko zaczątkiem, komórką zarodkową polskiego dramatu.

Takim zewnętrznym bodźcem do stworzenia tragedji, była prośba uczonego kanclerza, wielkiego znawcy i miłośnika literatury klasycznej—Jana Zamoyskiego, o przyozdobienie godów jego z Krystyną Radziwiłłówną, dziełem sztuki.

„Odprawa posłów greckich“, którą mistrz z Czarnolasu w tym celu napisał, była odegraną przez młodzież najznakomitszych rodów, w Ujazdowie, podczas uroczystości weselnych.

Szlachta polska tej epoki, pomimo przestróg, napomnień i gorzkich wyrzutów Reya i wielu innych pisarzy, nietylko nie pozbyła się swych wad i przywar, lecz jeszcze je spotęgowała. Wady te: sobkostwo, prywać, zniewieściałość, zaczął też wyśmiewać Kochanowski; wierny obraz wszystkich wad szlachty, mamy w jego utworze „Satyr“.

To też niektórzy uczeni jak Brückner, Biegeleisen (podług mnie zupełnie słusznie) wnioskuja, iż Kochanowski również i w „Odprawie“ pod postacią Greków, kreślił wizerunki współczesnej szlachty, wytykając jej przewinienia względem spełniania obowiązków społecznych i narodowych.

Animusz wojenny szlachty, ustąpił miejsca zniewieściałości i upadkowi sił; przeciwko nim występuje Kochanowski i występuje na tyle skutecznie, iż wzbudza w szlachcie duch odwagi i mężstwa, który się później ujawnia w moskiewskiej wojnie. Orężem Kochanowskiego w tej walce ze zniewieściałością szlachty, była jego tragedya: „Odprawa posłów greckich“.

Za osnowę tego dramatu, posłużył Kochanowskiemu urywek z dziejów wojny trojańskiej, a mianowicie chwila przed rozpoczęciem wojny, kiedy poselstwo greckie upomina się u Pryama, króla Troi, o oddanie Heleny, porwanej przez Parysa. Losy obydwóch państw

będą zależeć od odpowiedzi Pryama i jego rady — mają-li zwrócić Helenę Grekom, czy nie? Wrazie pomyslniej odpowiedzi, między dwoma państwami nastąpi zgoda i pojednanie, wrazie zaś przeciwnym, Grecy zaczynają okrutną wojnę, grożącą zupełnem zniszczeniem Troi.

I pomimo przepowiedni wieszczki Kassandry, próśb i zaklęć męża stanu Antenora, pomimo grożącej wojny — słaby i nieudolny Pryam, ulegając namowom królewicza Parysa, obłudnego i przebiegłego sofisty, a także wywodom Iketaona, zawołanego gardłacza sejmowego i warchola, daje odpowiedź odmowną. W tem też i zawiera się cały tragizm utworu.

Bohaterowie tej tragedyi Kochanowskiego mają wiele punktów stycznych z osobami, występującymi w tym czasie na arenie życia politycznego w Polsce.

Tak, szlachetny Antenor przypomina nam Zamoyskiego, chwiejny Pryam ma kilka rysów charakteru Zygmunta Augusta, a Iketaon — Samuela Zborowskiego.

Żywymi barwami maluje tu Kochanowski stan ówczesnego społeczeństwa polskiego i z duszy wyrzywa mu się okrzyk zwątpienia wypowiedziany ustami wieszczki Kassandry:

„.....O wdzięczna ojczyzno moja,
O mury, nieśmiertelnych rąk roboto,
Jaki koniec was czeka“?.....

a potem zwraca się do ojczyzny: „Mátko, ty dziełek swoich nie płakać, ale wyc będziesz“.

„Na murach Troi, mówi Biegeleisen, spostrzegasz rysy walcącego się gmachu Rzeczypospolitej polskiej, na który już wcześniej wskazywali Rey, Bielski i Górnicki“.

Jedynie wyjście z tego smutnego stanu rzeczy widzi Kochanowski w jednym:

„Nie tylko się brońmy, a radźmy też o wojnie,
Radźmy jak bić kogo; lepiej niż go czekać“.

Z całego utworu poety wieje coś starożytnego, Hellńskiego. Sam zaś układ tragedyi jest ściśle wytrzymany i odnajdujemy w nim „grecką architektonikę“.

Ale pomiędzy „odprawą posłów“, a tragedjami greckimi, jak Eurypidesa, Sofoklesa, Eschylesa i rzymskimi, jak tragedye Seneki, zachodzi ogromna różnica.

Kochanowski, będąc humanistą, przejął się zarazem hasłami nowożytnej cywilizacji, już czysto chrześcijańskiej. To też w tragedyi jego spotykamy już to, co się później tak silnie zarysowało w utworach Szekspira, a mianowicie wszystkie nieszczęścia nie są u Kocha-

nowskiego zesłane jak u tragików greckich, przez ślepe Fatum, lecz przez Boga, a przyczyną ich są ludzkie błędy i grzechy.

Język całego utworu, jak i wszystkich dzieł księcia poetów polskich, jest nadzwyczaj prosty, jasny, a zarazem silny i imponujący. Z tego też powodu, „Odprawa“ przedstawia ogromny postęp pod względem artystycznym, w znaczeniu wykończenia formy i odtworzenia postaci.

„Antenor, Aleksander, Iketaon i Pryam, mówi Chmielowski, są to charaktery dramatyczne, nie wycieniowane wprawdzie, ale nakrośnione dobitnie, mające swe indywidualne cechy bardzo wyraźne“.

Tylko postać Heleny udała się Kochanowskiemu gorzej. Jest ona chwiejną i niezdecydowaną i wyrzeka ciągle na przeciwności życia. Rozwodzi się też Helena nad smutną dolą człowieka:

„Więcej ci złego na tym świecie, niżli dobrego“.

Wogóle o całym utworze możemy powiedzieć, iż brakuje mu pierwiastku یشie tragicznego. Ale trudno żądać od autora, by wlał w swój utwór to, czego sam nie posiadał. Całe życie Kochanowskiego cechuje jakaś nadzwyczajna pogoda i spokój, które mogą być przerywane przez takie tylko tragiczne wypadki, jak śmierć Urszuli.

Prof. Plenkiewicz, tak nam rysuje sylwetkę Jana z Czarnolasu:

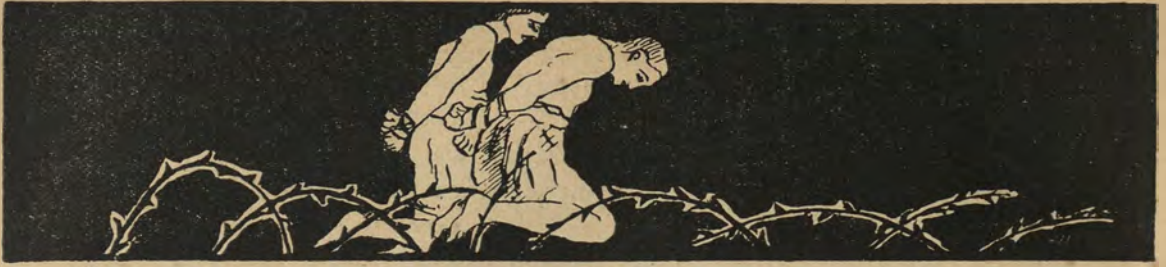
„Wśród swarów politycznych i religijnych rozterek, wśród namiętności, targających sercami, stoi on zawsze spokojny, poważny, niekiedy uśmiechnięty, z wdziękiem atyckim, niby posąg na niewzruszonej granitowej postawie, duchem wzniesiony ponad próżne troski ludzkie, szybujący myślą w obłokach“.

Kochanowski pierwszy świadomie wykorzystał cały ogrom bogactw języka polskiego, on był pierwszym poetą—artystą,—który szerokim pędzlem używał z palety wszystkich barw i kolorów, dla osiągnięcia zamierzonego efektu.

To też śmiało nazwać go możemy mistrzem słowa i ojcem poezji polskiej.

Wojciech Kulikowski.





*

*

*

Gdzie przytłumione skargi
Przez łyzy i poprzez trud
Zbielałe szepczą wargi,
Tam polski walczy lud.

Gdzie smutek zawsze gości
Wśród starych, niskich chat
Zgarbionych od starości,
Od klęsk, od burz i lat.

Gdzie próżno młodzież walczy,
Nie znając co to śmiech,
Gdzie służą zamiast tarczy
Wspomnienia wiejskich strzech,

Gdzie szara mgła tęsknicy
Przyćmiewa młody wzrok,
Tam smutek bladolicy
Za nami dąży w krok —

Tam w nędzy i upadku,
Wśród swych jałowych pól
Od ojców bierzem w spadku
Nadzieję ich i ból.

Konstanty Skrzyński.





*

*

*

Zbielały ust twych korale,
Cudne twe oczy
 Żal mroczy,
Po co ci żale?
Myśli twe lecą daleko,
 Pałą cię łąy pod powieką...
Co ciebie smuci, co?
Może to zło,
Co w piersiach ludzkich się leże
I jak padalce, węże,
 Kąsa zjadliwie, skrycie?
Może cię męczy życie,
Co szybko gdzieś w dal ucieka
 I piękne tylko zdaleka,
Kiedy, jak skrzydła motyle
 W słonecznym pyle,
Rzuca precudne drżące
 Blasków tysiące?
To ciebie smuci może?
 O spójrz na zorzę
 Wieczorną,
Co się nad lasem rozpala
 I śle ci blaski swe zdala
 Różane...
Widzisz? Już w rosie skąpane
Wysmukłe brzozy stoją srebrzyste,
A wiatr im czesze sploty puszyste...
 Modlą się pieśnią pokorną...
Spójrz na czarne te lasy,
 Co dawne czasy

Sławią w swym głuchym pogwarze...
Słuchaj ich, one ci w darze
 Niosą natchnienie i siłę.
Wiesz? Ich korzenie w mogiłę
Dawno się wgryzły i piją
 Z niej życie nowe
 I żyją...
Ale Cię trwoży to może?
Myśl twa się rwie na bezdroże...
A więc mnie słuchaj, dziewczyno!
Dnie ci za dniami przemina
I złożysz w wspomnień mogiłę
 Nie jedno wspomnienie miłe...
O, bądź jak lasy te stare!
 Uczyni ofiarę.
Z twych dawnych marzeń tysiąca..
Słuchasz mnie cicha i drżąca
A ócz twych ciemne motyle
 Kryją zapytań tyle.
Lecz mnie rozumieć się zdają
I złote iskry biegają
 W twym wzroku...
Cicho!... nic nie mów!... O zmroku
Wsluchasz się w duszy twej głosy...
 Niech Ci swe losy
Każde wspomnienie opowie,
Niech z nich twa dusza się dowie,
 Że nie we wspomnień pyle,
Chcą żyć minione chwile,
 Że się do ciebie zdaleka
Szczęście uśmiecha i czeka.
Kiedy ze wspomnień mogiły
Zerwiesz kwiat męstwa i siły,
I — wierząc w swój los — bez trwogi
Pójdiesz swojemi drogi
 Do celu swego,
 Aby do niego
Iść, póki siły Ci stanie
Na ciężki bój i kochanie.

Maryna Cramer.





O SZTUCE.

Słowo poezya pochodzi od greckiego wyrazu „pojesis“, co oznacza twórczość, dziś jednak nadajemy temu słowu cokolwiek odrębne znaczenie, a tłum, ogół, pseudo-inteligencya, a niestety częstokroć i inteligencya wręcz fałszywie pojmują i tłumaczy ten wyraz. Utarło się niejako, mniemanie, że poezya jest to sztuka władania słowem, opanowania pewnych form wiersza, a poeta, to ten, co tę sztukę posiada i potrafi myśli swoje i uczucia wypowiedzieć rymem, czy rytmem. Innymi słowami niektórzy poetą nazywają tego, kto pisze wiersze, a umiejętność jego poezya.

Jest to jednak sąd o poezyi i poetach zupełnie nie trafny i do najwyższego stopnia powierzchowny, a wydają go ci, którzy, nigdy nie wniknęli w głąb rzeczy i nie zastanowili się nad znaczeniem poezyi, ani nad jej istotą.

Sledząc rozwój ludzkości, od niepamiętnych czasów, od kiedy człowiek ze zwierzęcia począł się przekształcać w istotę wyższą, daje się zauważyć pewna skłonność duszy ludzkiej do odczuwania piękna otaczającej nas przyrody i chęć naśladowania owego dostrzeżonego piękna

W miarę rozwoju umysłu ludzkiego, wzrastało również owo upodobanie do piękna, pojawiały się coraz to nowsze i doskonalsze środki odtwarzania go, jednym słowem dusza ludzka coraz wyraźniej odczuwała potrzebę estetyki. Ową wieczną, nieugaszoną niczem tęsknotę ducha ludzkiego do piękna, do wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne, ową chęć wlotu słonecznymi szlaki ponad brud i grzech ziemski na-

zywamy poezją, a umiejętność odtworzenia i utrwalenia piękna dostrzeżonego, czy odczutego nazywamy artystem. W ten sposób, każdy, kto za pięknem tęskni i szuka go, kto czuje się szczęśliwym w jego otoczeniu, kto potrafi je odczuć i zrozumieć — każdy ten jest w większym lub mniejszym stopniu poetą, zależnie od stopnia ukochania owego piękna.

To co powiedziałem, mogłoby się niejednemu wydać dziwnem i niesłusznem, gdyż ludzi odczuwających piękno jest bardzo wiele, a poetów swoich każdy naród może nieledwie że przeliczyć na palcach.

Gdzież się więc podziela reszta? Gdzież owe zastępy miłośników i wyznawców niedosięzonego piękna? Pominąwszy kwestyę, że ludzi odczuwających i rozumiejących piękno w całej pełni, jest względnie nie tak bardzo znowu wielu, jakby się wydawać mogło, że większości piękno jest absolutnie obojętnem, pominąwszy to, powtarzam, nie wszyscy przecież obdarzeni darem odczucia piękna, jednocześnie posiadają zdolność odtworzenia go — czy to słowem, czy pędzlem, czy dźwiękiem, czy dźwiękiem. Z tego więc wynika, że poetów może być wielu, artystów zaś mniej znacznie, a na laury i nieśmiertelne imię zasługuje nie ten, kto się trawi jałową tęsknotą za pięknem, nie umiając jej wyrazić, ucieleśnić swego ideału, ale ten, kto czując piękno potrafi je oddać wiernie i odtworzyć.

Ten więc tylko, kto umie swój ideał piękna wcielić, wyrazić i zacząć podziwiać innym, zapisuje swe imię złotemi zgłoskami w dziejach ludzkości, ten tylko zalicza się w poczet poetów artystów.

Przed tysiącami lat, dzikus nieudolnie starający się wyróżnić na kle mamuta jakąś scenę myśliwską, czy obraz z życia, wydający mu się pięknym, był w mojem przekonaniu swego rodzaju poetą.

Z biegiem czasu, z rozwojem myśli ludzkiej, z potęgowaniem się tęsknoty za pięknem, rozwijała się również i umiejętność ucieleśniania go, aż wreszcie gdy poczucie piękna, czyli smak estetyczny doszedł do pewnego poziomu, umiejętność jego odtworzenia stała się sztuką, czyli artystem.

W krótkich słowach skreśliwszy co rozumiem pod nazwą poezyi i kogo uważam za poetę, stawiam pytanie, jaki jest cel istnienia poezyi i sztuki wogóle. Z przyjemnością czytamy dzieła wszechświatowych mistrzów, w galeryach obrazów podziwiamy płótna sławnych malarzy, zachwycamy się rzeźbą i muzyką—dla czego?

Cel nasz w studyowaniu np. astronomii jest jasny: badamy obroty ciał niebieskich, przez co poznajemy ową skomplikowaną maszynę, jaką przedstawia wszechświat, co do pewnego stopnia wiedzie do odkrycia tajemnicy bytu, zagadki istnienia, wyświeśla celowość naszej egzystencji.

Ucząc się historii, uprzytamniamy sobie rozwój ludzkości, dowiadujemy się o jej dziejach, o postępowaniu naszych pradziadów, widzimy ich zalety i wady, oceniamy ich zasługi — potępiamy winy, widzimy wszystkie owoce, cały rezultat ich życia i pracy, przez co sami uczymy się życia, jak postępować należy, czego się wystrzegać, do czego dążyć.

Fizyka, chemia, astronomia, historia i wiele, wiele jeszcze innych nauk nie potrzebują wyświeślenia celu swego istnienia, gdyż każdy, kto o nich ma jakieś pojęcie doskonale zdaje sobie sprawę, po co istnieje ta lub inna gałąź wiedzy, jakie są jej cele i jakim znaczenie.

A poezja? Sztuka? Jaki jest jej cel? Czego nas uczy? Jaką nam korzyść przynosi?

Czyż jedynym pożytkiem, jedyną zasługą Homera, Virgiliusza, Danta, Victora Hugo, Schillera i wogóle wszystkich mistrzów pióra — jest (jedynie) przyjemne spędzenie czasu czytelników.

Czyż zgodzimy się z Dzierżawinem porównującym poezję do... chłodnej limoniady w lecie.

Każda nauka uczy nas czegoś—czegoż nas uczy poezja?

Życie można porównać do wielkiej roli, na której człowiek występuje w charakterze oracza, siewcy i żniwiarza.

Dzieciństwo swoje i młodość człowiek poświęca na przygotowanie nieużyźnionej gleby życia pod siew własnego szczęścia, co następuje w wieku dojrzałym, a w starości zbiera plony owej pracy całego życia. A praca to nie jest łatwa i życie po różach nie płynie, częściej rozbrzmiewa płacz lub przekleństwo od śmiechu i pieśni.

Na człowieka pada cios po ciosie, czyniąc go nieczułym na niedolę innych, życie każe mu pić z kielicha wiele goryczy i żółci, monotonna codzienna praca, walka o byt, o powszedni kawałek chleba absorbuje go do tego stopnia, że zapomina o wszystkim innym, że zaciemniają się dla niego wszelkie inne, jaśniejsze horyzonty i zorze.

Troski i zgryzoty czynią człowieka zgorzkniałym i złym, obojętnym na nieszczęścia innych, usuwają z przed jego oczu piękne ideały, czynią go egoistą, dbającym tylko o swoje dobro osobiste, zagłuszają w nim altruizm i każą pilnować jedynie swego dobra, dążyć do osiągnięcia jaknajwiększej sumy swego własnego zadowolenia, do zaspokojania własnych pragnień i namiętności, choćby ze szkodą innych, choćby się je przyszło okupić łzami tysięcy, krwią milionów.

Jakież prawa, jakież czynniki zdolne są usunąć ten wiszący nad ludzkością miecz Damoklesa — upadek ideału i uleczyć chorą duszę ludzką, włąć w nią wiarę, nadzieję i miłość?

Czyż może tu przeciwdziałać astronomia, fizyka, historia, czy którakolwiek inna nauka? Nie.

Nauka nic tu zdziałać nie może, gdyż wpływ żadnej gałęzi wiedzy nie sięga tak daleko; w tym wypadku nauka okazuje się bezsilną.

Tą wróżką, która za dotknięciem czarodziejskiej różdżki usuwa dolegliwości ludzkie, leczy rany na duszy ludzkiej, otwiera nam nowe horyzonty, każe kochać i wierzyć, broni przed ostatecznym zwątpieniem, ukazuje zdumionym oczom duszy ludzkiej nowe szlaki i ideały, budzi w sercu jakieś wznieśłe i uszlachetniające tęsknoty do idealnych, doskonalszych form życia, każe strząsnąć ze skrzydeł pył i brud życiowy—i rozwinąć je do lotu—tą wróżką jest sztuka i poezya.

A zatem cel sztuki i poezyi możemy sformułować w sposób następujący: poezya i sztuka ma na celu rozświetlenie szarzyzny życiowej, zgubnej dla ludzkości, nie pozwala człowieczeństwu całkowicie pograżyć się w zwątpieniu i egoizmie, pielęgnuje w sercu właściwe człowiekowi uczucie altruizmu i miłości, jednym słowem ma za zadanie uszlachetnienie duchowej istoty człowieka, odwrócenie uwagi jego od nizin i błota i skierowanie jego wzroku ku wielkiemu słońcu, jakim jest prawda.

Sztuka i poezya każą nam przeżywać pewną dozę zbawiennych dla nas wzruszeń, otwierają nam tajniki duszy ludzkiej, tłumaczą nam wszystkie poruszenia naszego serca, odzwierciadlają życie takim, jakim ono jest i wskazują nowe formy lepszego, doskonalszego bytowania—któż wobec tego zaprzeczy znaczeniu sztuki i poezyi, któż nie przyzna iż jest ona dla ludzkości aniołem stróżem, strzegącym ludzi od upadku i grzechu, i naprowadzającym częstokroć występnych na drogę dobra i prawdy?

Artysta więc, poeta, ma obowiązki ciężkie i wielkiego znaczenia. Powinien przedewszystkiem uprzystępnić ludzkości poznanie piękna, powinien je realnie wyrazić, powinien potrafić wlać w duszę ludzką umiłowanie go, a sam, patrząc w piękno, jak w gwiazdę przewodnią iść za nią i wieść za sobą ludzkość—ku prawdzie. Odpowiedzialność jego wielka, tem większa, że jest on do pewnego stopnia nauczycielem ludzkości, winien więc baczyć, aby błędnego ognika nie poczytać za słońce prawdy i nie wprowadzić ludzkości w otchłań zamiast na wyżyny. Zbyt mało jest wyrobionym krytycyzm ogółu, aby się ludzkość zorientować mogła, że ten lub ów, wydający się poetą, przywódcą do wrót ideału—jest fałszywym prorokiem, apostołem zła, że poczytu je za piękno, to co niem nie jest i pod osłoną prawdy propaguje kłam.

Baczyć więc powinien poeta ogłaszający ludzkości nową prawdę, nowe piękno, czy ono pięknem i godziwym jest w rzeczy samej, aby

nie obalamuwać kroczących za nim zastępów, nie zachwiać w nich wiarę w potęgę piękna i prawdy.

Odpowiada on nietylko za siebie, odpowiada za ogół.

Potomność sądzić go będzie, jeśli głoszone hasła i idee okażą się zgubnymi dla ludzkości, jeśli posieje w duszy ludzkiej nasienie, które zły plon wyda, jeśli ludzkości każe czcić złote cielce, mianując je bogami.

Czy wszyscy poeci godnie wywiązują się z zadania—to rzecz inna, i śmiem sądzić że, niestety, nie wszyscy.

Jedni, niedorośli do miana nauczycieli ludzkości, pilnując swego własnego dobra, i sławy, pchają nas w przepaść obiecując tam szczęście i osiągnięcie ideału; drudzy wierzą, że propagują ideę szlachetną, siejąc w duszę ludzką kłakół i chwast.

Nie mniej, powinnością ich, artystów i poetów, jest dbałość o duszę ludzką, której są do pewnego stopnia opiekunami i kierownikami.

Piękno, jako pojęcie całkiem indywidualne nie da się sformułować, ani ująć w pewne prawidła, gdyż to co dla jednego jest pięknem, dla drugiego może nim nie być; nawet jeden i ten sam osobnik, dziś może uznać pięknem to, co wczoraj odrzucił i przeciwnie.

De gustibus non est disputandum. W ten sposób powstają w sztuce najrozmaitsze kierunki.

Oprócz tego, coraz bardziej kształci się i doskonali smak ludzki, rosną wymagania estetyki, wytwarzają się nowe prądy, które tworzą w sztuce nową erę, czyli epokę.

Sięgnawszy w przeszłość, takich epok możemy naliczyć dużo; każda z nich trwała czas jakiś, dopóki nie zjawily się nowe zapotrzebowania, inne, większe wymagania. Wówczas stary dominujący kierunek schodził z areny dziejowej, a na widownię wpływał inny, który czas jakiś panował nad umysłami ludzkimi, żeby ustąpić miejsca jeszcze nowszemu, bardziej odpowiadającemu wymaganiom chwili, ogólnemu nastrojowi duszy ludzkiej.

Mieliśmy scholastykę i pseudoklasycyzm i romantyzm i wiele jeszcze innych epok—dziś przeżywamy okres modernizmu. Jedni są jego zwolennikami, inni zaciętymi wrogami.

Zarówno jedni, jak i drudzy mają w swoich szeregach ludzi, ze zdaniem których musimy się liczyć, trudno więc zdać sobie sprawę, którzy mają rację, a którzy się mylą. Zależnem jest to w zupełności od osobistego zapatrywania jednostki.

W naszej literaturze ojcem modernizmu był Stanisław Przybyszewski. Za jego przykładem poszli i inni — i dziś modernizm liczy u nas wielu przedstawicieli. Oprócz nich, mamy jeszcze cały szereg pisarzy, których modernistami nazwać nie można, pomimo pewnych

cech podobieństwa, a którzy tworzą tak zwaną „Młodą Polskę“. I jedni i drudzy mają licznych wielbicieli i jeszcze liczniejszych może wrogów.

Jeden z naszych znanych i cenionych na całym świecie profesorów, stanowczo potępia modernizm i jego twórcę w literaturze polskiej—Przybyszewskiego—zarzucając mu, że „skalał i zbrukał naszą literaturę“.

Czy ów profesor ma rację, czy się myli — to trudno przysądzać. Nie od rzeczy może jednak będzie przytoczyć pewien wypadek, jaki swego czasu spotkał Mickiewicza.

Kiedy „Dziady“ po raz pierwszy ujrzały światło dzienne, ówczesny profesor i uczoney polski, uchodzący za znawcę literatury, wyraził się o tem dziele, w ten sposób parafrazując początek „Dziadów“:

„Pusto wszędzie — głupio wszędzie.
Głupio było — głupio będzie,
Coraz głupiej!“

Dziś od tego czasu upłynęło sto lat prawie. „Dziady“ uważamy za najcenniejszy klejnot literatury polskiej, ich twórcę czcimy, jako największego naszego geniusza narodowego, imię Jego znanem jest i drogim każdemu polakowi—a ów profesor ów „głęboki“ krytyk jest zupełnie zapomniany, mało kto wie że był, nikt nie wie kim był.

W ten sposób oceniła krytyka ówczesna „Dziady“. Mniej więcej podobnie część krytyki terażniejszej ocenia modernizm, jego twórców i wyznawców, oraz „Młodą Polskę“.

Z taką samą pogardą i lekceważeniem mówią o niej starsi, zeszlę pokolenie, z jakim Osiński wyrażał się o „Dziadach“.

Pomimo woli zestawiając ocenę „Dziadów“, z oceną modernizmu i „Młodej Polski“ przez terażniejszą krytykę, nasuwa się przypuszczenie, że los, który spotkał zdanie Osińskiego, prawdopodobnie spotka i zdanie naszych „znawców“.

„Dziady“ były, są i będą dziełem wielkiem, aczkolwiek początkowo ich nie zrozumiano i nazywano nieledwie że lichotą.

Czy wypadkiem teraz nie zachodzi podobne nieporozumienie z utworami współczesnych pisarzy?

Ongi tego rodzaju przekonanie o wartości „Dziadów“ podzielała większość publiczności polskiej. Dopiero dziś, kiedy posiadamy już całą bibliotekę dzieł krytycznych o „Dziadach“, o Mickiewiczu i jego twórczości, kiedy nam wytłumaczono każde niemal słowo każdego jego poematu, kiedy zrozumiano duszę mistrza, dziś dopiero kto przestudyował (nie przeczytał, ale przestudyował) „Dziady“—pojąć je może, i ten tajemniczy, dziwaczny poemat, jakim się przedstawiał ludziom ówczesnym, dziś staje się zrozumiałym i jasnym dla nas.

Zdanie owego profesora, o którym wspomniałem poprzednio, o modernizmie, Przybyszewskim i „Młodej Polsce”—podziela dziś większość społeczeństwa polskiego, szczególnie t. z. „starsza generacja”. Ale miną lat dziesiątki — a wówczas zobaczymy, kto pograży się w otchłań zapomnienia, czy „Młoda Polska” i jej twórcy, czy też krytycy, którzy w „Odwiecznej Baśni”, „Synach ziemi” i „Śniegu” nie mogą się dopatrzeć niczego innego, jak tylko majaczeń „berlińskiego pijaka”.

Pokaże to przyszłość—qui vivra, vera.

Nam jednak nie wolno przejść do porządku dziennego nad faktem tego niezrozumienia panujących w sztuce i literaturze kierunków, przez współczesną publiczność.

Czemu Osieńskiemu i wielu innym zdało się, po przeczytaniu „Dziadów”, że na świecie coraz głupiej, skoro ludzie piszą podobne utwory?

Czemu Lutosławski, i liczne zastępy przeciwników modernizmu w utworach „Młodej Polski” — widzą tylko wizje chorych alkoholików?

Nad tem zjawiskiem zatrzymamy się nieco i postaramy wyświecić jego przyczynę, według naszego przekonania.

Gdyby poeta był sobie takim samym zwykłym śmiertelnikiem, takim sobie przeciętnym człowiekiem, jak ci, co go otaczają — wówczas nie istniałby ów dający się od wieków zauważyć konflikt, pomiędzy artystą, a współczesną publicznością.

Byłby wówczas zawsze uznany, zrozumiany i odczuty, zyskałby sławę i laury u współczesnych—a zapomnienie i obojętność dopiero u pokoleń przyszłych.

Ale poeta przeciętnym człowiekiem nie jest.

Posiada duszę czulszą i wrażliwszą od duszy zwykłego śmiertelnika, widzi to, czego ludzie nie dostrzegają jeszcze, miewa uczucia, kompletnie jeszcze obce ogółowi.

Poeta wzbija się ponad tłum i szybuje w takich sferach, gdzie karle skrzydła współczesnych podążyć za nim nie mogą, gdzie tracą go z oczu i przeklinają, gdyż widzą jedynie mrok i mgłę, gdzie wzrok jego słońce dostrzega.

Stąd wynika ów odwieczny zatarg między mistrzem i ludzkością.

Dopiero pokolenia przyszłe, dosięgając poziomu wlotu artysty i dostroiwszy odpowiednio dusze, zdolne są odczuć i zrozumieć jego myśli i słowa, ciemne i niejasne dla współczesnych i dziwią się swym ojcom i dziadom, że to, co dla nich jest jasnym i zrozumiałym, dla tamtych było niewytłumaczoną zagadką.

Nie mniej toż samo pokolenie, które rozumie i czci mistrzów przeszłości—gani i nie pojmuje twórców terażniejszych, skarżąc się na upadek sztuki, na zanik poczucia piękna, na obniżenie polotu myśli i ducha.

Nie pojmując dla czego poprzedni artyści i poprzednie pokolenie nie rozumieli się wzajemnie, oni, pokolenie dzisiejsze, stwarzają taki sam zatarg z twórcami współczesnymi, nie dorosłszy do swoich mistrzów i przywódców.

W tem, według mnie, tkwi jądro owej dysharmonii między ludzkością, a współczesną sztuką i poezją.

Oprócz tych poetów niezrozumianych i odsuniętych na drugi plan, są jeszcze artyści cieszący się powodzeniem i uznaniem współczesnych.

Coż to za szczęśliwcy? zapytacie. Są to twórcy, nie powiem mierni, ale twórcy, którzy nie wnieśli do sztuki nic nowego, nic, coby musiało zdobywać sobie popularność, torować nowe drogi.

Są to twórcy, którzy opracowują, udoskonalają to, co im zostało w spadku poprzednie pokolenie artystów. Nie szukają oni nowych, nieodkrytych torów, ale kroczą spokojnie po utartych już gościńcach, zamiast walczyć o zdobycie nowych prawd.

Dostroili się oni do współczesności, nie wyrosli ponad tłum wśród którego żyją—nie rozlecieli w przyszłość—gdyż wystarcza im terażniejszość, nie pragną słońca—gdyż wystarcza im latarnia elektryczna, nie potrzebują skrzydeł—ponieważ nie są zdolni do lotu.

Są to artyści, którzy poznali publiczność, jej poglądy, wymagania i gusta, wysilają się aby jej dogodzić—i to właśnie jest talizmanem ich sławy doczesnej i powodzenia.

Prawdziwi zaś artyści tworzą nie dla sławy, nie dla majątku, nie dla głodnej wrażeń publiczności, ale tworzą, bo im tak każe wewnętrzna jakaś siła, zwana natchnieniem, a tworzą — przedewszystkiem dla siebie samych.

Ci drudzy, wielcy, prawdziwi artyści, giną przeważnie niepoznani—i dopiero w dłuższy czas po śmierci zyskują rozgłos, a ci pierwsi cieszą się nim za życia. Tłum ich wielbi, gdyż dogadzają i pochlebiają mu, gdyż nie potrzebuje się wysilać aby ich pojąć, buduje im świątynie, pali wonne kadzidła, wieńczy ich laurem. Za życia są oni półbogami współczesnych, cieszą się największą sławą i uznaniem; stawiają im nieledwie że pomniki za życia, lecz kiedy przetnie się nić ich istnienia, kiedy umierają—zwolna gaśnie słońce ich chwały, coraz mniej o nich mówią, aż wreszcie, kiedy współczesne pokolenie schodzi do mogiły wieczna noc pokrywa ich pamięć i imię, wieczne zapomnienie unosi się nad ich grobami.

Sława gaśnie, aureola wielkości blednie, laur więdnie, świątynie rozsypują się w gruzy.

Przed dwudziestu z górą laty zmarł Józef Ignacy Kraszewski, naj-sławniejszy, najpopularniejszy pisarz polski ówczesny autor kilkuset dzieł najrozmaitszej treści, pół-bóg współczesnego społeczeństwa, czytany przez wszystkich, chwalony przez wszystkich, uwielbiany przez wszystkich.

Od śmierci jego upłynęło zaledwie lat dwadzieścia parę. Jeszcze ojcowie nasi go znali, jeszcze pamięć o nim świeża, mogła ledwo zarosła.

Nie ujmując bynajmniej Kraszewskiemu olbrzymiej zasługi unarodowienia społeczeństwa polskiego—zapytam—kto z nas czyta dziś jego dzieła?

W dzieciństwie przeczyta się „Starą Baśń“, „Barani Kozuszek“ „Stacha z Konar“ i ma się dosyć.

Rzadko kto może się pochwalić, że zna całego Kraszewskiego, aczkolwiek mniej lub więcej dokładny komplet dzieł jego posiadała prawie każda biblioteka szlachecka.

Po tak wielkiem uznaniu i sławie, jaką sobie zdobył Józef-Ignacy—skąd tak nagle zapomnienie? Czemu zapomniano o Kraszewskim, który żył wczoraj jeszcze, a pamiętają o innych, aczkolwiek dziesiątki lat dzieła nas od dnia ich zgonu?

Dla tego, że Kraszewski, człowiek rozumny i szlachetny, wielki polak, wielki patriota, wielki obywatel swego kraju — był miernym artystą i na cał nie wzniósł się ponad otaczający go tłum.

Dla tego wielbili go współcześni, potomni zaś znaleźli, że nie mówi nic nowego, że nudny, przyznają mu wielkie zasługi, ale wolą go nie czytać.

Ale, przynajmniej, Kraszewski, zasługami położonemi dla Ojczyzny zdobył sobie szacunek i cześć całego narodu, wówczas kiedy posiadamy całe szeregi podobnych pseudo-artystów, pseudo-pisarzy, pseudo-poetów, którzy nie położwszy jednej setnej zasług Kraszewskiego mianują się artystami, literatami, poetami, cieszą się wzięciem, sławą i poczytnością w tych warstwach społecznych, u tych jednostek, które, czytając mają na celu jedynie zabicie czasu.

Zasługi tych mistrzów małe, albo zgoła żadne — a uznanie i poczytność olbrzymia

Wygłoszone przezemnie uwagi o modernizmie, jego twórcach i wyznawcach nasuną, być może, słuchaczowi przypuszczenie, że sam jestem modernistą, skoro tak energicznie staję w obronie tego kierunku.

Ktoby tak sądził—myliłby się, bo modernistą bynajmniej nie jestem, i przyznaje, że większa część utworów Młodej Polski jest dla

mnie mało, albo wcale niezrozumiałą, jak „Nietota“ T. Micińskiego, „Pałuba“ K. Irzykowskiego, „Legion“ i „Kłątwa“ S. Wyspiańskiego nie licząc licznych ulotnych poezji.

Przyznaję, że terazniejsza sztuka plastyczna absolutnie mi nie przemawia do duszy, wydając mi się pozbawioną piękna, owego niezbędnego elementu, czyniącego sztukę—sztuką.

Zupełnie nie rozumiem najnowszych płócien Jacka Malczewskiego, Pautscha, Uziembły i wielu innych—wówczas kiedy poprzednie prace tegoż nawet Jacka Malczewskiego, płótna obu Kossaków, Siemiradzkiego, Weysenhoffa i t. d. są dla mnie zrozumiałe.

Wyliczyłbym również mnóstwo utworów Młodej Polski, które rozumiem, aczkolwiek uważane są za modernistyczne, fantastyczne, mistyczne i niezrozumiałe.

Rozumiem i „Wesele“ Wyspiańskiego i „Synów Ziemi“ Przybyszewskiego i „Próchno“ Berenta i moc innych.

Jednak, nie pojmując „Kłątwy“ nie krzyczę na całe gardło, że Wyspiański nic nie wart, skoro go zrozumieć nie mogę, ale przyznaję ze skruchą, że najwidoczniej nie dorosłem jeszcze do pojmowania jego utworów. Nic mnie nie obchodzi, czy który z współczesnych poetów jest „berlińskim pijakiem“, czy która powieściopisarka jest „francuzką nierządnicą“, jak się niektórzy o niektórych wyrażają, bo wogóle mało obchodzi mnie prywatne życie artysty, jego domowe sprawy — ale obchodzą mnie jego dzieła, jego twórczość, jego talent.

Skoro czyjes utwory przemawiają mi do duszy, zadawalniają mój smak estetyczny, sam twórca może być nietylko berlińskim pijakiem, ale nawet rzezimieszkiem z za Wolskich rogatek, a ja, pomimo to, dzieła jego będą uznawać za piękne.

Mojem więc zdaniem można utworom modernistycznym przyznawać artyzm lub nie, ale nie wolno bezwzględnie potępiać całego kierunku, li tylko na tej podstawie, że go nie rozumiemy, że się nam nie wydaje dość pięknym, gdyż, jak już zaznaczyłem, piękno zależnem jest jedynie od indywidualnego odczucia jednostki, i to, co nam może się wydać estetycznem kto inny nazwie brzydkiem i vice-versa.

„Man muss leben und leben lassen“, mówi przysłowie.

W rozprawce dzisiejszej mówiłem przeważnie o literaturze i poezji, jako o gałęziach sztuki najbardziej dla mnie dostępnych. Na zakończenie pragnę jeszcze powiedzieć parę słów o odczuciu piękna w sztuce.

Wszystko, co czytamy, staramy się przedewszystkiem zrozumieć. Patrząc na obraz, czy rzeźbę—przedewszystkiem staramy się uchwycić przewodnią ideę artysty. Czy jednak całe piękno leży w wewnętrznej treści arcydzieła? Czy gdyby np. „Anhelli“ nie był alegorycznem

przedstawieniem emigracji paryskiej, gdyby nie było w niem żadnej przerośni, czy tem samem byłby pozbawionym wszelkich cech arcydzieła, piętna artyzmu?

Czy gdyby Malczewski zamiast swego obrazu „Tanatos“ wymalował np. wspaniały samowar tulskiej fabryki, i gdyby w to płótno wlał całą swoją umiejętność malarską, chcąc mu nadać cechy arcydzieła — czy by dopiął celu, czy krytyk nie mogąc obrazowi nic kompletnie zarzucić pod względem techniki malarskiej mógł by go nazwać wielokopomnem dziełem?

Oczywiście nie.

Anhelli, pozbawiony przerośni straciłby połowę wartości i znaczenia, a malarz poświęcający swój talent i czas, odtwarzaniu, choćby najwierniejszemu tuskich samowarów, nigdy by nie został nazwany artystą.

Innemi słowami—dzieło sztuki, żeby stać się pięknem musi, przede wszystkim posiadać myśl.

Dzieło bez myśli pięknem być nie może, jest świątynią bez Boga, jak się wyraził jeden z naszych krytyków.

Obraz, rzeźba, poemat mogą zawierać myśl, uszlachetniającą je, jako dzieło sztuki—ale jaką myśl można dostrzedz w architekturze, czy muzyce?

Dla mnie pytanie to zostaje nierozstrzygniętem, i niech nikt nie oczekuje po mnie definicyi myśli zawartej w muzyce i architekturze.

Mówią, że strzeliste wieżyczki gotyku mają wyobrażać wzniesienie się myśli ludzkiej ku Bogu, a kopuły bizantyjskiej świątyni są symbolem nieskończoności, ja jednak osobiście nie wierzę, aby można było zakląć myśl w gmach gotycki, czy renesansowy i architektura jest dla mnie piękną jedynie tem pięknem zewnętrznem, pozbawionem głębszej treści.

Muzyka również należy do rzędu sztuk pięknych, o czem świadczy wymownie samo słowo „muzyka“.

Zdania o niej są sprzeczne. Niektórzy twierdzą, że stoi ona najwyżej w rzędzie sztuk pięknych, ponieważ wyzwoliła się zupełnie z oków myśli i oddziałuje wyłącznie na uczucie słuchacza.

Inni znów dowodzą, że zapomocą pewnych kombinacyi dźwięków, połączenia pewnych tonów, można wyrazić *myśl*.

Dla mnie muzyka jest zupełnie niezrozumiałą, aczkolwiek lubię ją bardzo i ma na mnie wielki wpływ. Ale uchwycić przewodniej idei autora nie mogę; potrafię ją odczuć—nigdy zrozumieć.

Dowodzono mi, że zrozumienie i odczucie muzyki, jest to jedno i to samo, ale się z tem twierdzeniem zgodzić nie mogę i postaram się na przykładzie dowieść słuszności mego poglądu.

Mickiewicz, opisując w „Panu Tadeuszu“ grę Jankiela, każe mu popełniać w czasie gry rażący dysonans, a słuchacze *zrozumieli*, grę żyda, *zrozumieli*, że ów fałsz w pogodnej pieśni — to Targowica, owa niczem niezmazana plama na kartach naszej historii.

Przypuszczam iż gdybym był słuchaczem Jankiela, odczułbym może piękno gry jego, ale bym jej nie zrozumiał, a fałsz w harmonijnej pieśni prędzej położyłbym na karb nieumiejętności artysty, niż bym przypuścił, że jest on świadomym i celowym, że jest symbolicznym. Nie *zrozumiałbym* gry Jankiela, jak nie zrozumiałem symfonii Bethowena, mającej, jakoby, przedstawiać życie Napoleona, aczkolwiek zrobiła na mnie wielkie wrażenie i słuchałem jej w skupieniu.

Mojem więc zdaniem muzykę, jak też i każde inne piękno można *rozumieć* i *odczuwać*, jedno niezależnie częstokroć od drugiego.

Pod wpływem muzyki mogę stać się smutnym, lub wesołym, pewna melodia może we mnie wlać wiarę, lub zwątpienie i to będzie odczuciem muzyki.

Zdanie zaś sobie sprawy, że fałsz w danej grze ma oznaczać Targowicę, a symfonia Bethowena życie Bonapartego — jest według mnie zrozumieniem muzyki.

Wszystko to, co powiedziałem w niniejszej rozprawie, o sztuce wogóle i poszczególnych jej gałęziach, opartem nie jest bynajmniej na studiach nad pięknem, ale jest wyrażeniem jedynie mego indywidualnego odczucia i zrozumienia.

Bożykowce, sierpień 1910 roku.

Stanisław Czosnowski.





PIEŚŃ O GRUNWALDZIE.

Nocą czarną, nocą ciemną
Na grunwaldzkiej polu bitwy
Zasłuchany w pieśń tajemną,
W jakieś łkania czy modlitwy
 Jagiellowy stanął duch.
Smutny stanął na tem polu,
Na zroszonej krwią równinie,
A pieśń gorzkich łez i bólu,
Wielka skarga zewsząd płynie,
 Nieuchwytny jakiś jęk!
Ziemia jęczy... Łkają kwiaty,
Płaczą rosą, krwawą rosą...
Wiatry ową pieśń w zaświaty
Na potężnych skrzydłach niosą
 Gdzieś w nieznana, ciemną dal.
Szumią lasy... Szumi zboże...
Polska skarży się królowi,
Ale pojąć król nie może,
Co się stało narodowi,
 Czemu płacze, czemu łka.
Zasłuchany w owe skargi,
Zatrwożony tym szelestem

Zbielałemi szepce wargi:
„Gdzie ja jestem? Gdzie ja jestem“?
 Czy to Polska? To mój kraj?
I wspomina dawne lata,
Zwycięstw lata, lata chwały,
Kiedy brzmiała pieśń skrzydlata,
Gdy tryumfu pieśni brzmiała,
 Uderzając w niebios strop!
Chora gwiany szelest słyszy,
Mieczów szczęk i chrzęst zbroicy...
W przedbitewnej wielkiej ciszy
Słyszy pieśń Bogarodzicy
 Słyszy pacierz swoich wojsk.
Widzi mężów zastęp zbrojny,
Setki mieczów i szyszaków,
Słyszy pierwszy okrzyk wojny,
Słyszy pierwszy jęk Krzyżaków
 Widzi — pierwszy upadł trup...
Na grunwaldzkiej polu bitwy,
Nocą ciemną, nocą czarną
Innej słucha król modlitwy,
Inną słyszy pieśń mocarną
Inne skargi, inny jęk!
Może skarżą się rycerze,
Którzy kości tu posiali?
Może dzwonią tak pancerze,
Może jest to oddźwięk stali?
 Mieczów szczęk czy poświst strzał?
Może naród przypomina
Dziś królowi krew wylaną?
Może z płaczem go przeklina,
Może nuci pieśń wezbraną
 Łzami dawnych przeszłych lat?
Może skarżą się piszczele?...
Może woła ta równina,
Że wsączyła krwi zbyt wiele,
Że nadeszła dziś godzina
 Przekleństw, które ciska kraj?
Nocą czarną, nocą ciemną
Na grunwaldzkiej polu bitwy,
Zasłuchany w pieśń tajemną
W jakieś szepty czy modlitwy
 Jagiellowy stanął duch...

Łzami skargi te nabrzmiały,
Ale nie brzmi w nich przekleństwo,
Nie przeklina lud swej chwały,
Nie przeklina swoje męstwo
 Nie przeklina zwycięstw dnia.
Nie! Nie skarżą się rycerze
Którzy życiem dług oddali
Swej ojczyźnie i swej wierze...
Nie! To nie jest oddźwięk stali,
 Nie proporców naszych szum.
Słuchaj królu: W owej pieśni
Słysząc innej skargi brzmienie,
Słysząc jęki dziatwy z Wrześni
Słysząc pomruk: „wywłaszczenie“,
 Słysząc Polski całej płacz!
Słyszysz królu — swiszczą baty!
Słyszysz kajdan brzęk ponury?
Słyszysz podły śmiech Hakaty
Który w imię swej kultury
 Gwałci prawa — sieje łzy!?
Grunwald! Grunwald! Dawne lata!
Lata zwycięstw i potęgi!
Mówi o tem pieśń skrzydlata,
Mówią o tem stare księgi
 O tej bitwie, o tym dniu!
Kiedyś naród dla swych synów
By rycerskie wieńczyć czoła
Splatał kruchy liść wawrzynów.
Brzmiała wówczas pieśń wesola,
 Był to chlubny zwycięstw czas.
Teraz inne przyszły lata —
Minał chlubny dzień zwycięstwa,
Naród z cierni wieniec splata,
Jako symbol — znak męczeństwa,
 Znak przeżytych, ciężkich chwil.
Dziś inaczej szumią lasy,
Inna skarga brzmi w ich szumie.
Dziś nastały inne czasy
A duch słucha i rozumie
 I sam płacze i sam lka!

Listopad 1910 rok.

Stanisław Czosnowski.

BABIE LATO.

Gdy jesień zajrzy, wicher zwieje
Ostatni sen, ostatni kwiat,
Gdy życia przejdą szumne dzieje —
Poleci w świat
Biały i drżący puchu pył,
Co sił!...

I na rozległych krańcach świata,
Gdzie tylko zdąża słońca bieg,
Bieli się puch „babiego lata“,
Jak srebrny śnieg...
A wznosi się, gdy rzucisz weń
Choć parę tchnień!

Ach! sił potrzeba tak niewiele,
By rozwiać, by mknął precz
Ten puch, co pola czarne ściele —
By rozwiać... lecz
Gdy nam zabraknie białych fal —
Zostanie żal!...

Wojciech Staniszewski.

Warszawa 1. III. 1911 r.



JESIENIĄ.

Powstała z łoża mchów i ziela,
I po tem idzie smutna blada...
A wicher liście wkrąg rozściela,
W gałęziach szumi, lka, ujada,
Jak dziecko płaczem się zanosi,
To grozi strasznie, huczy gniewnie,
To znów przycicha, to znów prosi
I błaga miękko, cicho, rzewnie...
Powstała z łoża mchów i ziela,
Zasłania piersi zwiędłe, wdowie,
A wicher liście wkrąg rozściela
I targa włos na siwej głowie!
I szarpie łachman brudny, szary
I dziko się w gęstwinie śmieje
I leci hulać na moczary...
Po drodze łyje jej zimne sieje.
Powstała z łoża smutna, blada
I cicha idzie w polu cichem,
Nad każdym kwiatem staje rada,
Nad każdym schyla się kielichem,
I wszystko zimnem tchnieniem mrozi...
A wicher jęczy, płacze, grozi,
I wzdyma fale na wód toni...
Nad kwiatem staje lodowata,
A gdzie swą zimną łzę uroni
Tam z kwiatu życie wnet ulata
Tam drzewo wędnie, liść opada,
A ona idzie cicha, blada.
Gdzie drzewo w złoto strojne zoczy,
Tam cicho sunie, liście strąca,
I złote wplata do warkoczy,
I spokój śniących drzew zamaça...
Nad owe tonie idzie wodne,
Które się gniewnie marszczą na nią
I wzrokiem liczy fale chłodne,
Których władczynią jest i panią.
I brudne płucze w nich łachmany,
I kuje łód na ich kajdany.
A kędy przejdzie — wędną kwiaty,
Zlatują z drzew szkarłatne szaty,
A wicher liście wkrąg rozściela

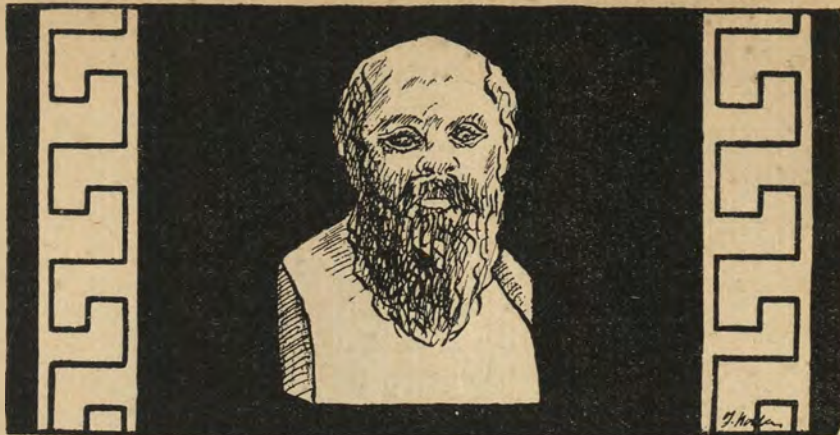
Na owe pola, wody, ziela...
Po polu smutnem, a szerokiem
Trzy siostry idą krok za krokiem,
A każda idzie z nich osobno,
A każda nuci pieśń żalobną.
Tęsknota idzie poprzez pole,
Rozplotła wolno warkocz złoty,
A wiatr rozwiewa jej te sploty.
Na łonie niesie ludzkie bole,
Drżącemi dłońmi je przykrywa,
A z oczu łza za łzą jej spływa.
I wznosi oczy do księżyca,
Gdy błysnie jego twarz bladawa
I leci skarga smutna, łzawa...
Tak niebu skarży się Tęsknica.
I płynie cicho przez opary,
Przez pola, łąki, lasy, stawy,
I nowej szuka wciąż ofiary,
I śpiew swój nuci smutny, łzawy.
A komu milcząc spojrzy w oczy
I wieńcem ramion swych oplecie,
Ten za nią śladem smutny kroczy
I jak wid błąka się po świecie.
I Rozpacz idzie po przez bory
Odziana w czarnych szat kolory,
I płaszcz swój czarny, długi włóczy
I śpiewa nokturn jakiś kruczy.
A z oczu lecą łzy rzęsiste,
Łzy wielkie, srebrne, lodowate...
A wichler rwie ostatnie liście
I targa jej żalobną szatę,
A kto się dotknie szat jej końca,
Nie ujrzy więcej blasków słońca,
Nie ujrzy rannych zórz purpury
Nie ujrzy bladych nieb błękitu,
A kroczy smutny i ponury,
I słyszy mroczny hejnał zgrzytu.
Samotność idzie po przez łąki,
Jak anioł wiotki, piękny, senny
I niesie krwawy ból rozłąki,
I wyrok losu, zły, niezmienny.
Ociera smutnych ócz bławaty
Skrawkami szarej swojej szaty.

Na skrzydłach błyszczą krwi korale
I łez wylanych lśnią opale.
A komu zimny pocałunek
Na białym czole cicho złoży,
Ten wieczny tylko zna frasunek
I czuje ucisk swej obroży,
I w śmierci widzi swój ratunek
I smutny w trumnę się położy.
Po polu smutnem, a szerokiem
Do szczęsnych ludzi w szczęsne sioła
Trzy siostry idą krok za krokiem,
Spuszczone nizko mają czoła,
A wichur ciska im pod nogi
Uschnięte liście... krwawe głogi!
A ich królowa idzie przodem
I łowi nić babiego lata,
A ułowioną w warkocz wplata
I srebrne fale ścina lodem,
I złote liście z drzew otrząsa...
A wichur huczy, wyje, płasa...
A kędy przejdzie — wszędzie ino,
Westchnienia lecą i łzy płyną!

Stanisław Czosnowski.

Bożykowce, sierpień 1910 r.





SOKRATES, JEGO ŻYCIE I FILOZOFIA.

Tajemnicza, nierozwiązalna zagadka naszego istnienia, wielkie zagadnienia istoty i celu naszego życia, zajmują ustawicznie umysły wielkich myślicieli i stanowią nietylko najwięcej interesujące kwestye, lecz również najważniejsze i najtrudniejsze.

Nie tylko nauka współczesna, nie tylko uczeni ubiegłych stuleci, lecz także minionych lat tysięcy kusili się o wyświecenie owego mroku niewiadomości, który otacza i ukrywa przed badawczym spojrzeniem człowieka pochodzenie świata, pochodzenie ludzi, przeznaczenie i cel naszego życia i nieznaną los ludzki po upływie krótkotrwałego ziemskiego istnienia.

Niejednokrotnie starali się najwięksi uczeni znaleźć odpowiedź na to pytanie, lecz wszystkie ich założenia i całe systematy naukowe wykazywały swą bezsilność wobec tajemniczej zagadkowości bytu. Ów dział nauki, który obiera sobie za zadanie wyjaśnienie kwestyi naszego istnienia, zwie się filozofią.

Jak wszystkie niemal nauki, powstała filozofia w Grecyi, owej kolebce wiedzy i sztuki. Jednakowoż, Grecya stanowiła nietylko kolebkę filozofii: w Grecyi filozofia rozwinęła się i osiągnęła takiej

wspaniałości i blasku, że następne tysiącolecia nic już do badań Greków dorzucić nie były w stanie, lecz przerabiały tylko systematy poprzednie, zastosowując je do wymagań najnowszej kultury i cywilizacji.

Była więc Grecja ojczyzną filozofii, której pierwsi przedstawiciele pochodzili z kolonii i wysp greckich. Nic dziwnego, że koloniści, jako ruchliwsi od mieszkańców metropolii, wytknęli sobie cel—wykrycie tajemnicy pochodzenia świata. Poprzednio wystarczały zupełnie religijne podania i mity, w których to samo dążenie do wyjaśnienia przyczyny bytu zauważyć się daje.

Zrozumiałym jest, że poetyczne, fantastyczne historie o powstaniu świata i ludzi nie mogły zaspokoić badawczego analizującego umysłu greckich myślicieli. Jedni z pośrednich starali się wytłumaczyć sobie powstanie ziemi działaniem wody, inni działaniem ognia, jeszcze inni działaniem nieskończenie drobnych cząsteczek niepodzielnych, a wreszcie połączeniem czterech żywiołów, lecz wszystkie te hipotezy, wytworzone przez Thalesa, założyciela szkoły Jońskiej, Anaksymandra z Miletu i Heraklita z Efezu, Ana imenesa i Empedoklesa, nie dawały zupełnie zadawalniającej odpowiedzi na zajmujące umysł ludzki pytanie o naszym pochodzeniu. Ana agoras z Klazomenai, przyjaciel Peryklesa, nauczyciel Tucydidesa i Eurypidesa, nie znalazłszy wyjścia w badaniu żywiołów odniósł się sceptycznie do badań poprzednich i pierwszy przedstawił duch i rozum, jako przyczynę układu świata. Utwory jego zostały spalone i sam uniknął śmierci tylko dzięki wstawiennictwu Peryklesa, odpokutowawszy wygnaniem z Aten.

Niezależnie od owych nauk stała szkoła Pytagorasa, który za jedyną drogę do prawdy uznawał gruntowne poznanie matematyki i muzyki. W kombinowaniu liczb pytagorejczycy widzieli wskazówki na istnienie materii, jako praźródła nieskończoności. Uważając świat za produkt połączenia pięciu żywiołów (eteru, ognia, powietrza, wody i ziemi), Pytagoras upatrywał w istnieniu jego wybitny porządek i harmonię, z powodu czego nazwał go pierwszy Kosmosem. Jak wszystko na świecie zostało urządzone zapomocą liczby i harmonii, podobnie i człowiek składa się z połączenia jedności (duszy) z dwójką (ciałem), lub z monady i dyady, połączonych za pośrednictwem trzeciego—harmonii. Ciało człowieka dzieliło się również na cztery części, odpowiadające czterem kategoriom bytowania: dziedzinie istot rozumnych, gromadzie zwierząt i wreszcie rzeczom wszelakim. Szkoła Eleatów, która się wyłoniła ze szkoły Pytagorasa, została założona przez Ksenofanesa, który nietylko odrzucał wielość, lecz nawet nie chciał się zgodzić na dualizm, uważając, że „jeden byt“ lub „wszechistnienie“—to bezgraniczność, wieczność, bez końca i początku. Jednakowoż, łącznie z temi założenia-

mi, wątpi w pewność poznawanego i poznania wogóle. Ksenofanes powstał i przeciw wielobóstwu i przeciw antropomorfizmowi w wyobrażeniu o Bogu. Uczniowie jego posunęli się jeszcze dalej i Zenon, z Elei twierdząc o nieskończoności jestestwa, tylko w nim widzi istnienie czasowe. Melissos mówi, że wobec zaprzeczenia pewności naszych wiadomości nie może być nawet mowy o bogach, co do których nie podobna osiągnąć żadnego poznania.

Jak widzimy, w dziedzinie poszukiwań prawdy następuje chaos najzupełniejszy. Bezsilny umysł ludzki, nie mogąc sobie poradzić z dociekaniem kosmologicznymi, chwyta się metafizyki, jak tonący słomki, i ostatecznie, strudzony i przybity, uznaje swą niezdolność do wyjaśnienia upragnionej prawdy.

Z tego chaosu, z tego splątania myśli i idei wyjścia nie było; należało albo starannie sprawdzić wszystkie założenia i hipotezy, albo obalić wszystko i rozpocząć nanowo mozolną pracę, stworzyć własny plan badań, oparty na zupełnie nowych podstawach. Takie burzenie starych doktryn i wznoszenie nowych ideałów zachodzi peryodycznie we wszystkich krajach i bywa zazwyczaj połączone z przewrotami polityczno-społecznymi. Rzecz podobna zaszła i w Grecji w okresie po wojnach perskich.

Zwyciężywszy takiego wroga, jak Persowie, Grecy uświadomili sobie swą siłę, swą jedność narodową i swoją przewagę, i jako kwiat, co od silnych burz i gwałtownych wichrów ocalał, piękniej od swych uszkodzonych towarzyszy rozkwita, takż i Hellada, wywalczywszy sobie długotrwały pokój, spoczywała na laurach zasłużonych, kwitła i rozkwitała we wszystkich kierunkach obywatelskiego i społecznego życia. W takim to właśnie momencie, gdy Grecya, zabezpieczona od wroga, rozkuwała kajdany, co ją gnębiły, i przygotowywała się do wolnego życia obywatelskiego, wówczas to właśnie zachodził przewrót w dziedzinie wiedzy filozoficznej. Uwolniwszy się od dawnych przesądów, obalwszy zawile systematy dawnych filozofów, wolna myśl Greka-zwycięzcy rozpostarła potężne skrzydła i zataczając szerokie koła, poszukiwała zwycięzko dawno upragnionej nieznanej prawdy.

W tym okresie w dziedzinie filozofii na pierwszy plan wysuwają się sofiści, „tak oczernione plemię ludzkie“, jak mówi Luis.

Panujące zdanie o tych filozofach nie jest ściśle, i nieścisłość ta wypływa z zestawienia maruderów szkoły sofistycznej ze świetlaną postacią Sokratesa. Grot pierwszy rozwiewa błąd powszechny, oddzielając ojców sofistów Protagorasa i Prodikosa od owych epigonów, którzy, przeżywszy samych siebie, zostali wszechnegującymi poszukiwaczami zysku bez przekonań i sumienia. Ci to właśnie erystycy, nieetyczni szermierze słowa, sporu, prowadzonego o cokolwiek i jakkolwiek, stanowili przedmiot nagany i oburzenia Platona i Arystotelesa,

którzy ich uwiecznili, nie wytknąwszy jednak należytej granicy pomiędzy dwoma różnymi pokoleniami sofistów — między dwiema grupami osób, z których pierwsze były poważnymi poszukiwaczami mądrości, drugie bezmyślnymi brukowemi gadułami.

Sofistów, lecz sofistów pur sang można nazwać encyklopedystami piątego wieku. Niemordowanie obnażając wszelkie braki dawnych metod naukowych, rozkładają stare wierzenia i ideały, starannie i szczegółowo kruszą przestarzałe idee i formy. Pod nożem ich sceptycznego rozumu stare pojęcia rozpadały się jedno po drugim, dawne prawdy okazały się kłamstwem, stare obyczaje — wytworem chyttrych, żądnych własnych korzyści klas, a starożytne wiązy społeczne — tyraniami tylko.

Rozum własny uznawano za jedyny autorytet; co nie mogło się obronić przed sądem tego rozumu uważano za fałsz lub oszustwo, własne kryterium osobnika panowało w religii, jak również w moralności.

„Człowiek jest miarą wszechrzeczy“, wyrzekł przewodca sofistów Protagoras i to zdanie jego było podstawą całej nauki sofistów, punktem wyjścia ich filozofii:

Negowano wszystko obiektywne; tylko dla subiektywnego światopoglądu uznawali sofiści rację bytu.

Tym sposobem ginie przedmiotowa prawda, założenia ogólne i przynależne wszystkim idee. Uznaje się tylko subiektywne zdanie i wszystko z tego powodu nabiera względnego charakteru, wszystko zależy od myślącego osobnika, wszystko przyjmuje charakter dorywczy i osobisty.

W następstwie tych założeń powstaje najzupełniejszy sceptycyzm, którego wyrazicielem jest Gorgjasz, głoszący, że nic nie istnieje, że gdyby cośkolwiek istniało, to jednak nie moglibyśmy tego poznać i że gdybyśmy wreszcie poznać zdołali, to nie byłibyśmy w stanie udzielić swych wiadomości innym.

Wszelkie niszczenie idei zużytych posiada tylko względną wartość i sens jego zawiera się w zaprzestaniu o właściwym czasie i przejściu do twórczej działalności. Tego właśnie nie było w destrukcyjnej czynności sofistów i dlatego pożyteczna narazie działalność przeobraża się w jakiś anarchizm filozoficzny, wprowadzający do życia społeczno-rozterkę i rozkład, czemu sofiści zawdzięczają epitet „demoralizatorów ateńskiego społeczeństwa“.

Ostoje moralności, sprawiedliwości, prawdy zostały zachwiane przez pseudofilozofów pseudosofizmu i dobro społeczne potrzebowało silnego i mądrego obrońcy, szermierza czystej wiedzy, prawdy, sprawy intelektualnego życia ludzkiego. Na tle powszechnej apatii i dezorga-

nizacji systematów filozoficznych jaskrawo się zarysowała ponętna postać Sokratesa.

Jego czyste oblicze duchowe było na to, jakby stworzone, aby uszlachetnić ogół ateński, podnieść do niebywałej świetności idee dobra, piękna i moralności, zdeptane i poniżone przez sofistów.

Sokrates urodził się w Atenach jako syn rzeźbiarza Sofroniska i jego żony Fajnarete.

Ród Sokratesa wyprowadzono od Daidalosa, którego syn Ikar zapragnął wznieść się do słońca na sztucznych skrzydłach, lecz zginął w falach morza, które otrzymało nazwę od jego imienia.

Co do roku urodzenia Sokratesa istnieją zdania różne. Jedni twierdzą, że się urodził w roku 471 p. Ch., inni, że w r. 469, jeszcze inni podają rok 468. Druga opinia jest najprawdopodobniejszą, gdyż w swej mowie na sądzie, t. z. w roku 399, Sokrates, według Platona, nazywał się starcem siedemdziesięcioletnim. O wychowaniu Sokratesa możemy wnioskować tylko na zasadzie ogólnych rozważań, gdyż nie posiadamy żadnych dokładnych wiadomości. Należy przypuszczać, że Sokrates, jak wszystkie dzieci ateńskie, mając lat siedm, wstąpił do gimnazyum, gdzie go uczono czytania, pisania i matematyki, w bardzo zresztą skromnych rozmiarach. Szczególnie ważnymi przedmiotami były gimnastyka i śpiew. Pierwsza rozwijała siły fizyczne, hartowała i przygotowywała wprawnych wojaków, co przemożną potęgę band perskich odparli; drugi rozwijał smak estetyczny, pozwalał intonować patryotyczne moralizatorskie utwory Homera i Hezyoda.

Mamy pewne dane do przypuszczeń, że Sokrates nie zaspokoił się tą wiedzą elementarną i rozpoczął dalsze studia, słuchając wielkich filozofów owego czasu. Mimo to nie jest dokładnie wiadomem u kogo studyował filozofię. Istnieje twierdzenie, jakoby Anaksagoras posiadał wielki wpływ na rozwój Sokratesa i odegrał rolę decydującą w ostatecznym uformowaniu światopoglądu jego. Obecnie trudno zgodzić się na to, aby doktryna Sokratesa została wytworzona przez wpływ poszczególnej jednostki. Niewątpliwie była ona skutkiem filozofii Anaksagorasa i Aspazyi, lecz nie ulega również wątpliwości, że jeszcze więcej zależała od powszechnego nastroju epoki.

Przypuszczać należy, że filozoficzne idee Sokratesa nie odrazu powstały. Najprawdopodobniej długo rozmyślał nad problematami życia ludzkiego i ciosając i wygładzając marmur w pracowni swego ojca, przygotowywał się do trudniejszej i odpowiedzialniejszej pracy formowania ludzkiej myśli, torowania drogi do prawdy, cnoty i szczęścia.

Przysłuchując się do mów filozofów i pseudofilozofów, Sokrates wytwarzał sobie własne zapatrywania i dopiero po długotrwałych, bo

piętnastoletnich badaniach ludzkiego życia począł sam występować, jako filozof pierwszej klasy, niezwyciężony przeciwnik wszelkiej chytrłości i fałszu, eo ipso wróg śmiertelny sofistów ulicznych. Wystąpiwszy na szeroką arenę publicznego wykładania swych doktryn filozoficznych, Sokrates był już trzydziestoletnim mężczyzną, mężem słynnej Ksantypy, której imię stało się sławnem, i ojcem trojga dzieci. Uprzednio, jak już wspomnieliśmy, trudnił się rzeźbiarstwem, i nawet przypisywano mu statwę trzech charytek, która stała przy drodze na Akropol. Lecz z chwilą, gdy się rozpoczęła nauczycielsko-apostolska działalność, Sokrates zarzucił zajęcia rzeźbiarskie, przestał dbać o wyżywienie swej rodziny i szacowna Ksantypa miała podstawę do wytykania swemu mężowi niedbałego traktowania swych gospodarsko-rodzinych obowiązków. Zapewne, Sokrates był złym ojcem rodziny, lecz zato był wzorowym obywatelem, to zaś posiadało znaczenie pierwszorzędne i wprowadzało Sokratesa do szeregu ideałów, do których ludzkość dążyć powinna. Prawda i to, że pomyje i ordynarne przezwiska były zbyt silnymi przejawami oburzenia zacnej połowicy Sokratesa, lecz oskarżać ją zbyt surowo, byłoby z naszej strony niegrzecznością w stosunku do żon wielu wybitnych uczonych, które, choć wykształcześnie i kulturalniejsze od Ksantypy, zatruwają swym wielkim mężom każdą minutę prozaicznymi drobiazgami.

Zresztą sam Sokrates obojętnie przyjmował ekscesy Ksantypy, mówiąc, że z nią przyzwyczajają się być cierpliwym i wytrwałym. „Jak woźnica, który umie sobie poradzić z dzikimi nieujeżdżonymi końmi, łatwo będzie kierował spokojnymi, podobnie też ja“, głosi Sokrates, „zżywszy się z Ksantypą, będę w stanie zżyć się z każdym“. Tak więc, występując w dziedzinie filozofii, będąc człowiekiem dojrzałym i zrównoważonym Sokrates zastanawia nas harmonią swych idei, stałością światopoglądu, skończonością nauk. W ciągu całej swej działalności filozoficznej ustawicznie wygłaszał te same wzniosłe czyste idee. Ażeby przyjść do rozbioru jego nauk, postaramy się dokładnie poznać charakter Sokratesa i osobisty jego stosunek do różnych kwestyi życiowych. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że w podstawie charakteru Sokratesa spoczywała uczuciowość i namiętność. Wielu nazywa Sokratesa suchym i zaprzecza wrażliwości jego serca na nieszczęście i cierpienia innych. Lecz niesprawiedliwość takiego sądu jest oczywista sama przez się. Wielkie myśli, jak mówi Vauvernage, wychodzą z serca, i rzeczywiście cóż mogło popchnąć Sokratesa do wyrzeczenia się wszystkiego, do czego pozostali ludzie dążą przez życie całe, do chodzenia w lichym chitonie, bosy i z odkrytą głową po placach i ulicach miasta, i do nauczania, poprawiania i uszlachetniania swych współobywateli? Cóż mogło go skłonić do oddania swego życia dla innych, jeśli nie silne, głębokie ukochanie, nieznanające ani przeszkód, ani

granic; ukochanie, skłaniające do zapomnienia o własnych korzyściach, połączone z współczuciem,—ażeby służyć innym, ażeby pracować dla ich szczęścia. Rzeczywiście, trudno wyobrazić sobie delikatniejsze serce, wznioślejszą duszę, niż u Sokratesa. Można było przypuszczać, że Sokrates był podobny do ascetów średniowiecznych, co ciało swe, jako siedlisko grzechu, gnębili, lecz nie—nikt nie umiał tak się weselić, jak Sokrates. Wino i kobiety miały dla niego, jak dla Lutra, znaczenie realne. Nie było weselszego współbiesiadnika, więcej upragnionego towarzysza na ucztach. Jego dowcip i humor nadawały szczególną ponętność każdej zabawie, robiąc ją estetyczną i piękną. Jest to zupełnie zrozumiałe, Sokrates nigdy nie mówił o umartwieniu ciała, pragnął tylko zahartować swój organizm, aby mógł łatwo znosić braki i wszelkie dolegliwości. Wychodząc z założenia, że za najszcześniejszego należy uznać tego, kto poprzestaje na małym, Sokrates dążył właśnie do tego. Taka wytrwałość i podporządkowanie instynktów organicznych wymaganiom wewnętrznego świata, były przyczyną owego spokoju i zrównowżenia, które najlepiej zaświadczyła Ksantypa, wyraziwszy się o Sokratesie: „Zawsze mi powraca do domu z takim wyrazem twarzy, z jakim wyszedł“. Z powodu zupełnej harmonii duchowej dla Sokratesa nie było dylematów i zawsze a niezmiennie szedł po tej samej, raz obranej drodze honoru i obowiązku. Ztąd wypływa jego odwaga na wojnie, którą zwrócił na siebie powszechną uwagę w bitwach pod Potydeją i Deliosem. Waleczność jego znalazła wyraz i w czasie pokoju, kiedy to, będąc prytanem w 406 roku, nie zgodził się na żądanie rozwydrzonego tłumu nieprawego powszechnego sądu nauarchów, którzy po świetnym zwycięstwie pod Argenusami nie pomyśleli o pochowaniu zabitych. Wykroczenie to uchodziło za tak wielkie z tej przyczyny, że zgodnie z wierzeniami Greków — wspomnijmy choćby „Antygonę“ Sofoklesa — dusze niepochowanych błądzą nad brzegami Styksu i niepokoją krewnych, co pozostali przy życiu. Później, gdy podczas rządów trzydziestu tyranów Sokrates łącznie z kilku obywatelami otrzymał rozkaz udania się na wyspę Salamin w celu pojmania niejakiego Leona demokracji, który zbiegł przed prześladowaniem oligarchów, wówczas jeden tylko Sokrates odważył się nie wykonać rozkazu, i gdyby nie obalenie tyranów, które nastąpiło wkrótce po owym zdarzeniu, wielki filozof niewątpliwie przepłaciłby życiem swój czyn heroiczny. Wogóle stosunek Sokratesa do wszechpotężnych tyranów był nacechowany odwagą i wytrwałością. Kiedy Sokrates, oburzony ustawicznymi karami śmierci (karę śmierci uważano wówczas jeszcze za gwałt i anomalie), wszędzie ganił rządy trzydziestu, głosząc, że pasterza, przy którym stado maleje, uznaje się za bezwartościowego, a w Atenach liczba obywateli zmniejsza się codziennie i arystokraci uznają to za zgodne z naturalnym rzeczy po-

rządkiem,—wówczas został zawezwany przez oligarchów i uprzedzony, że jeżeli nie przestanie dyskredytować ich rządów, to może zmniejszyć o swą osobę stado naródowe. Sokrates jednakowoż nie zwracał na to żadnej uwagi i kontynuował swe niedwuznaczne ataki na tyranów. Taką odwagą i taką prostolinijnością odznaczał się ten wyjątkowy człowiek, którego filozofia była gwiazdą przewodnią następnych filozofów od dawnych do najnowszych czasów.

Filozofia Sokratesa odznaczała się swojskością i oryginalnością. Ani Heraklit, ani Demokryt, ani Parmenides, ani Empedokles nie mogli się pochwalić wywarciem jakiegoś wpływu na myśl Sokratesa. Kosmo-fizyczne koncepcje dawnych myślicieli były mu obce, i pozostawał względem nich w stosunku negatywnym, zdając sobie z nich sprawę, gdyż uważał, że naiwnością jest badanie otaczającego świata bez znajomości samego człowieka. Ujemny stosunek Sokratesa do nauk ścisłych był bezwzględnie fałszywy i obecnie, po tylu udoskonaleniach w dziedzinie nauk przyrodniczo-matematycznych, w wieku elektryczności i pary niepodobna zgodzić się w tym względzie z wielkim myślicielem. Jednakowoż system Sokratesowskiej filozofii rehabilituje to „an und für sich“. W swej mowie sądowej Sokrates podaje, że uczeń jego Cherefontes, zapytawszy wyroczni Delfickiej, kogo należy uważać za najmędrszego z pośród ludzi, otrzymał odpowiedź: Sokratesa. Taka odpowiedź zadziwiła filozofa i nie odważając się nie wierzyć bóstwu, zapragnął wyjaśnić znaczenie słów jego i udał się do różnych ludzi, których zajęcie wymagało wiedzy i mądrości. Lecz, jak twierdzi Sokrates, ani działacze państwowi, ani filozofowie, ani poeci nie okazali się rzeczywiście mądrymi. Posiadali, co prawda jednostronne umiejętności, lecz w innych dziedzinach byli najzupełniejszymi ignorantami. Lecz nawet będąc ignorantami nie zdawali sobie z tego sprawy i uważali się za ludzi wszechstronnie uzdolnionych. Sokrates mówi, że nawet poeci tworzą jakgdyby nieświadomie, mając często niejasne wyobrażenie o poezji.

I oto Sokrates wnioskuje: „Jakkolwiek nie wierzę, aby ktokolwiek pośród nas rzeczywiście wiedział, co jest prawdą, dobrem i pięknem, różnica polega tylko na tem, że oni, nie wiedząc, sądzą, że wiedzą, ja zaś wiem, że nic mi nie jest wiadome“ To nie pokora lub skromność, jak się zwykle przyjmuje, lecz poczucie swej przewagi, uświadomienie sobie tego, że rozumie wagę wiedzy etycznej, gdy inni nie zadają sobie trudu zagłębienia się w te ważne kwestye życiowe i są jakgdyby skazani na wegetację w nierozpraszałnym mroku. Prawda, dobro i piękno, trójca etyki greckiej, stanowią według zdania Sokratesa jedynie ważny przedmiot naukowych dociekań.

Dlatego też Sokrates sam jakgdyby wskazał wymienionemi powyżej słowami zasadnicze podstawy swej filozofii. To dumne poczucie

swej przewagi wytwarza całkowity przewrót w dziedzinie systemu myślenia filozoficznego. Poczynając od Thalesa, filozofowie zajmowali się pytaniami kosmologicznymi i, jeżeli pozostawimy na stronie szkołę Eleacką, Sokrates pierwszy badanie ducha ludzkiego wysunął na pierwszy plan naszej działalności poznawczej, a moralną stronę ludzkiej istoty postawił w ognisku dociekań filozoficznych.

Tu leży najważniejsza zasługa Sokratesa przed filozofią europejską. Takie podniesienie kwestyi etycznych do wysokości spraw, mogących wyłącznie podlegać badaniu naukowemu, będzie zupełnie zrozumiałem, gdy przypomniemy sobie okoliczności, przy których się rozwijała doktryna Sokratesa. Gdy sobie przypomniemy, że sofisci zagrażali moralności społecznej, że Sokrates był pierwszym i jedynym przedstawicielem nowej nauki filozoficznej, to zrozumiemy wnet, że tylko etyka mogła być punktem wyjścia jego nauki. Postaramy się tedy zaznaczyć próby, dokonane w tym kierunku przez Sokratesa.

Sokrates, jak wszystkie przodujące jednostki danego okresu, powstawał stanowczo przeciw wszystkim starodawnym podaniom i autorytetom i wysunął na plan pierwszy rozum, który w owej chwili powołany został świeżo do życia. Dla niego, jak dla Protagorasa, krytyczna myśl jednostki była miarą wszechrzeczy, a zatem intelektualnej i moralnej prawdy, lecz podczas, gdy wódz sofistów skorzystał z tej potężnej dźwigni z wyłącznym celem obalenia panującego do owej chwili światopoglądu, Sokrates oparł na niej swą naukę, zrobiwszy z owego założenia kamień węgielny, na którym zbudował swój gmach etyczny. Dla Sokratesa ta świadoma zasada była nie tylko głównym, kierowniczym wskaźnikiem w etycznym życiu jednostki, lecz także jedyną miarą tego, co zwykliśmy nazywać postępkiem etycznym; inaczej mówiąc, zdaniem jego, etyka winna spoczywać nietylko na jasno i wyraźnie obmyślanych i przyswojonych zasadach, lecz sama staje się sobą tylko o tyle, o ile zasady te wchodzą do naszego postępowania w charakterze świadomie twórczych elementów. Sokratesowi nie wystarczyło, jeżeli jakiś etyczny postępek został dokonany tylko na skutek odziedziczonego przyzwyczajenia; żądał, ażeby postępek był dokonany z zupełną świadomością i ażeby dana jednostka zdawała sobie zupełnie wyraźnie sprawę z motywów, skłaniających ją do tego czy innego postępowania. Bez tego etyka istnieć nie może i człowiek, który postąpił etycznie, lecz nieświadomie, z punktu widzenia prawdziwej etyki postąpił równie nieetycznie, jakgdyby postąpił źle. „Czyż możemy nazwać piśmiennym człowieka“, zapytuje Sokrates, „który dzięki szczęśliwej okoliczności napisze prawidłowo jakiś wyraz, nie posiadając wyobrażenia o prawach pisowni? Czyż możemy nazwać kogoś matematykiem tylko z tego powodu, iż zgadł, że $5 \times 5 = 25$? Nie, rzecz prosta; a skoro tak jest, skoro dla otrzymania prawa na nazwę piśmiennego

lub matematyka nie dość dowolnego faktu prawidłowo napisanego wyrazu lub słusznej odpowiedzi, lecz oprócz tego i ponad to potrzeba jeszcze odpowiednich wiadomości, przyczyn i celów, ażeby akt pozostawał w wyłącznej zależności od świadomej woli, to i moralnym możemy nazwać tylko tego, kto postępuje prawidłowo ze względu na pewne wymagania świadomego umysłu, który przyswoił sobie pewne zasady i nagina do nich swe praktyczne postępowanie. Dlatego nie należy zaliczać do etycznych postępów owych czynów bohaterskich jakich mogą dokazać ludzie nienormalni w przystępie obłędu. Ztąd wypływa podstawowa zasada Sokratesa, że cnota jest wiedzą. Cnota, jako źródło, lub twórczy pierwiastek etyki, przedstawia taki sam przedmiot studyów, jak pisownia lub arytmetyka.

„Czy nie zdaje ci się“, zwraca się Sokrates do jednego z przyjaciół, „że napodób tego, jak można się nauczyć czytania i pisania, tak też możliwym jest dociec i wiedzieć, co jest sprawiedliwością?“ „Być może“. „A kto twoim zdaniem więcej umie: czy ten, kto umyślnie czyta i pisze błędnie, czy też ten, który to robi bezwiednie?“ „Pierwszy, rzecz prosta, ponieważ gdy zechce, może czytać i pisać prawidłowo“. „Więc tego, który umyślnie pisze z błędami, nazwiemy więcej wyćwiczonym?“ „Tak, bezwarunkowo“. „A któż z dwojga lepiej wie, co to jest sprawiedliwość: czy ten, który celowo kłamie i oszukuje, czy też ten, który to robi mimowoli?“ „Niewątpliwie pierwszy“. „Ponieważ jednak tego, który umie poprawnie czytać i pisać, nazwiemy wykształconszym, niż tego, kto owej umiejętności nie posiada, więc czyż nie jest sprawiedliwszym ten, który wie, czym jest sprawiedliwość, aniżeli ten, który nie wie?“ „Tak“. „A więc ten, kto zwodzi umyślnie, jest sprawiedliwszym od tego, który to robi bezwiednie“. Wniosek ten może się wydać potwornym, trzeba jednak pamiętać, że Sokrates nie mógł wyobrazić sobie, iżby człowiek mógł działać wbrew poznanej cnotcie. Wydawało mu się to fizycznie niemożliwym i sprzecznością logiczną. Ażeby pogląd Sokratesa w tej materii zupełnie sobie wyjaśnić, przytoczymy jeszcze jedną jego rozmowę z Eutydesem: „Powiedz mi, Eutydesie, jak się zapatrujesz na pobożność“, zapytuje Sokrates. „Jako na jedną z cnot najszlachetniejszych“. „Czy możesz określić, kto według twego zdania jest pobożnym?“ „Ten, kto oddaje cześć bogom“. „Ale czyż można czcić bogów, jak się każdemu spodoba?“ „Zapewne, że nie; na to istnieją pewne prawa“. „Tak jest. A więc ten, kto te prawa zna, wie zarazem i to, jak należy oddawać cześć bogom?“ „Tak jest niewątpliwie“. „Czy jednak zdaniem twoim człowiek, któremu wiadomo, jak należy czcić bogów, po cznie myśleć o tem, ażeby ich czcić inaczej, niż należy?“ „Nie, rzecz prosta“. „A więc będzie ich czcił, jak umie, to jest jak należy?“ „Bezwątpienia“. „A czyż nie jest pobożnym ten, który ich czci, jak

należy“? „Rozumie się“. „Przeto tylko tego możemy nazwać pobożnym, kto wie, co jest zgodne z prawami o oddawaniu czci bogom“.

Widzimy z tego, jak mocno wierzył Sokrates w nierozdzielność teorii i praktyki. My, żyjąc w wieku dwudziestym, widzimy wszędy obalanie tej jasnej nauki. Ustawicznie odrzuca się cnotę, świadomie niszczy się moralność, byle tylko usunąć zapory do chwilowego użycia byle utorować drogę do szczęścia wątpliwej wartości. Jednak, pomijając rzeczywistość, w naukach Sokratesa kryje się ta prawda, której poszukują uczeni wszystkich czasów. Przypuśćmy, że ktoś dobrze sobie uprzytomnił te korzyści, jakie daje wstrzemięźliwość i tę niedolę, jaką pociąga za sobą rozpusta; rozumie się, że nie będzie się namyślał i obierze to pierwsze. Stąd w ślad za pierwszą zasadą tożsamości cnoty i wiedzy wylania się zasada tożsamości cnoty i dobra.

Za najlepszą ilustrację do tego służyła Sokratesowi bajka „O wyborze Herkulesa“. Przyznając całą potęgę argumentacji, nie możemy nie wskazać na pewne braki sokratesowskiego światopoglądu. Albowiem pomijając już kwestię zasadniczą, o ile wogóle uchodzi czy to z teoretycznego, czy z praktycznego punktu widzenia, utożsamianie moralności z osobistym szczęściem jednostki aż do zupełnego wyłączenia elementu społecznego, możemy słusznie zapytać, czy Sokrates, budując swą naukę na zasadzie szczęścia osobisto-politycznego, nie przeczy swemu zasadniczemu zapatrywaniu na cnotę nie jako na środek, lecz jako na cel, i to w życiu cel najwyższy? I czy sam nie wprowadza tem rozkładowego zarodka do swego systemu, z czego później skorzystają epikurejczycy, cynicy i stoicy—a wszyscy będą pretendowali do pochodzenia od Sokratesa.

Dla Sokratesa, jak dla wszystkich mu współczesnych, co przeżyli Sturm und Drang poprzedniego pokolenia, absolut i niezmiennosc zginęły na wieki, łącznie z całym dawnym światopoglądem, a na ich miejscu stanęły względność i zmienność określające się oddzielnie w każdym poszczególnym przypadku. A skoro dobro i piękno były tylko stosunkiem pomiędzy dwu lub kilku rzeczami, to zależały od środków i celów.

Wychodząc z tego Sokrates mawiał, że co stanowi dobro podczas głodu, może być złem podczas febry i odwrotnie. Co jest pożytecznym w pasowaniu się, nie zawsze bywa takowem w wyścigach pieszych i odwrotnie.

Tu, między innymi, jest ukryty główny brak etyki Sokratesa: dowodząc, że cnota, a więc i moralność kieruje się i winna się kierować wypływającym z niej dobrem, i wyjaśniając, że za dobro należy uznawać korzyść jednostki, filozof sprowadza moralność na grunt wązko utylitarny i czyni ją narzędziem eudemonizmu, czyli filozofii osobistego szczęścia. Po za tem, uznając tożsamość cnoty i wiedzy, możemy

dojść do wniosku, że moralność i wiedza są również identyczne, i że bez wiedzy moralność nie da się pomyśleć, a co za tem idzie jedno całkowicie wyczerpuje treść drugiego. Ztąd można dojść do paradoksu, że moralność może być wykładana i skoro cnota i dobro są identyczne, a dobro może być tylko jedno, więc oto drugi wniosek paradoksalny, że umiarkowanie, sprawiedliwość, waleczność i pobożność stanowią w gruncie rzeczy to samo: wszystko to jest jedną cnotą, odpowiadającą dobru i podlegającą studyom, jak wiedza. Jednak, powracając do Sokratesa, widzimy, że uważał wiedzę za *conditio sine qua non* naszej etyki i obyczajności, i wskazywał na owe określenia i metody które pozwalają znaleźć odpowiedź na to, czym jest wiedza sama przez się. Poznanie tych sposobów Sokratesowskiego myślenia jest dla nas rzeczą pierwszorzędną wagi. Przed Sokratesem filozofowie, zajęci dowolnymi spekulacjami myślowymi w dziedzinie nauk kosmologiczno-fizycznych, wymagających obserwacji i doświadczenia, nie trudnili się analizą swych poglądów i teorii, nie przypuszczając że ich wiedza może się okazać przesądem, urojeniem, zdaniem. Sokrates był pierwszym myślicielem, który zrozumiał, że wiedza nie może być zwykłym sądem, że jest to coś innego, wymagającego, dokładnego i wyraźnego określenia.

Według świadectwa Arystotelesa, Sokrates był pierwszym, który począł korzystać w rzeczach poznania i myślenia z określenia logicznego. Znać rzecz znaczyło dla niego określić ją, czyli, wykrywszy istotę pojęcia danej rzeczy, wyłączyć wszystkie cechy dorywcze i wydzielić w jedną całość organiczną te cechy, które jej stale towarzyszą. Co prawda już u Demokryta, a zwłaszcza u Pytagorasa spotykają się związki określeń, lecz cały proces logiczny opierał się u nich nie na analizie właściwości rzeczy, lecz na jej asymilacji i usymbolizowaniu. Wychodząc z tego, że sprawiedliwość polega na równym i jednako- wym stosunku do wszystkich i we wszystkich przypadkach, i że wszystkie cztery boki kwadratu są sobie równe i prostopadłe, Pytagoras symbolizował sprawiedliwość i określał ją, jako kwadrat. Sokrates prze-rósł znacznie podobny sposób myślenia i poszukiwał nie zewnętrznych analogii, lecz istoty rzeczy, t. zw. nieodzownych właściwości i cech.

Z tego punktu widzenia możemy go nazwać ojcem logiki jako nauki: dalszy jej rozwój w tym kierunku był tylko udoskonaleniem tego, co wniósł Sokrates. Znaczenie praktyczne tych określeń jest olbrzymie; jest to cel ostateczny, do którego dążył cały system filozofii Sokratesa. Dać szereg ścisłych określeń pobożności, sprawiedliwości, odwagi, znaczyło nadać filozofii żywotność i tę możność zastosowania, bez której jej sens i znaczenie zeszyły by do minimum. Są tedy określenia organicznem zakończeniem całego systematu Sokratesow-

skiego, tworząc niejako ogniwa, wiążące w jedną całość teorię i praktykę, naukę i życie, etykę i obyczajność. To też definicya stanowią te szczeble, po których myśl ludzka może się zbliżyć do prawdy, poznać ją i uczynić swoją posiadłością. Zastosowując określenia, Sokrates stworzył swą słynną metodę argumentacji, której nic nie dorównało ani za jego życia, ani po nim. Metoda ta jest zawarta w pytaniach krzyżowych, ustanowieniu przesłanek, wyciąganiu wniosków i sprawdzaniu założeń. Sokrates uznawał, że tylko ta wiedza posiada wartość, która zostaje osiągniętą przez jednostkę drogą własnego myślenia; to też nigdy nie podawał wniosków gotowych, lecz doprowadzał do pożądaných konkluzji za pomocą wzmiankowanej metody. Porównywał tę funkcję odtwarzania prawdy z rzemiosłem swej matki akuszerki Fajnety, mówiąc, że podobnie jak ona współdziałała przyjsciu ludzi na świat, tak sam czyni to w stosunku do prawdy. W celu ilustracji metody Sokratesa przytoczymy jedną z najcharakterystyczniejszych rozmów z młodym, lecz pewnym siebie Eutydemosem. Dowiedziawszy się, że jego interlokutor nie wątpi w swą znajomość tego, co stanowi sprawiedliwość, Sokrates prosi go o wyjaśnienie, co rozumie przez to pojęcie.

„Oto, jeżeli zechcesz“, rzecze, „napiszemy tutaj alfę, tu zaś deltę, i wszystko, co sprawiedliwe, umieścimy pod deltą, a co niesprawiedliwe pod alfą“. „Z przyjemnością“.

„Zgoda. A teraz powiedz mi, czy na ziemi istnieje fałsz?“ „Rozumie się“. „Pod jaką literą mamy go umieścić?“ „Bezwątpienia pod alfą“. „A oszustwo istnieje?“ „Istnieje również“. „Gdzie każesz je umieścić?“ „Tam, gdzie fałsz“. „A dokąd zwrócimy takie postętki, jak zapędzanie ludzi do niewolnictwa? czy do sprawiedliwości?“ „O nie, do alfy, rzecz prosta“. „Lecz powiedz“, zapyta nagle filozof po chwili milczenia: „gdy wódz podda niewolnictwu naród pohańczy i nieprzyjacielski, czy to będzie postępek sprawiedliwy?“ „Tak jest“. „A jeżeli w czasie wojny poczniesz oszukiwać wrogów? Czy to będzie sprawiedliwe?“ „Bezwątpienia“. „A gdy im odbierze ich majątek?“ „I to będzie sprawiedliwe. Lecz sądziłem“, odpowiada Eutydemos, „że zadając swe pytania, uwzględniasz tylko nasze stosunki do przyjaciół“. „Bardzo żałuję, lecz to wszystko jedno. Musimy zatem porobić pewne poprawki i umieścić pod deltą to, co skierowano do alfy?“ „Rozumie się“. A więc zgadzasz się, że lokując w różnych rubrykach oznaczone powyżej postętki, musimy się jeszcze kierować temi względami, że będąc sprawiedliwe dla wrogów, w stosunku do przyjaciół będą niesprawiedliwe, i że w stosunku do ostatnich winniśmy być w miarę możliwości prostolinijni?“ „Tak jest niewątpliwie“. „Dobrze. Lecz skoro ten sam dowódca zauważy w armii oznaki małoduszności, i zapragnie ją zwieść fałszywą wiadomością o szybkim przybyciu pomocy i prowizji,

aby tą drogą wrócić jej odwagę i pewność swoich sił; czy to będzie sprawiedliwe, czy niesprawiedliwe“? „Sądzę, że sprawiedliwe“.. A jeżeli ojciec, gdy syn jego jest chory, lecz lekarstwa zażywać niechce, oszuka go, podawszy mu mikstury pod postacią wina i tem go uratuje, czy zaliczymy to do delty, czy do alfy“? „Rozumie się do delty“.. „A gdy ktoś, widząc swego przyjaciela w wielkiej rozpacz i obawiając się z jego strony jakichś nierozważnych uczynków, skradnie mu miecz, lub inną broń,—czy to będzie sprawiedliwe, czy nie“? Rozuuie się, że sprawiedliwe“.. „Przeto i w stosunku do przyjaciół nie możemy być zupełnie prostemi i szczeremi“.

„Dyalog się na tem nie kończy, ponieważ jednak wogóle nie dochodzi do jakichkolwiek konkretnie sformułowanych dodatnich wniosków, to i z tego urywku możemy sądzić o sposobach, używanych w dyalektyce przez Sokratesa. Zawierają się one w osiągnięciu dodatnich wniosków drogą instancyi ujemnych, co jak wiadomo stanowi istotę metody indukcyjnej. Nie należy jednakowoż ztąd wysnuwać wniosku, że Sokrates ubiegł metodę nauki współczesnej, metodę, pierwotnie opracowaną przez Arystotelesa, a następnie udoskonaloną przez Bakona. Wada ujemnych instancyi Sokratesa polega na tem, że kierował się nader często analogią powierzchowną i oprócz tego faktami, wziętymi, jak się zdarzy, z życia codziennego. Jednak, pomimo podobnych, dość poważnych braków, metoda Sokratesa, posiadała wpływ olbrzymi na życie współczesne i wytworzyła formalny przewrót w dziedzinie dawnych dogmatów i systemów. Prawdę uznawano za przedmiot studyów, wymagających świadomej pracy myślowej, spoczywającej na krytycznie wypracowanych podwalinach. Jednocześnie z tem stał się niemożliwością dogmatyzm i wszystko, co się utrzymywało dzięki popularności lub przyzwyczajeniu, ulegało niszczącemu działaniu ujemnego procesu metody Sokratesowej. Takie poniżenie urojonych prawd i poniżenie ich głosicieli posiadało niekiedy tragiczny niemal charakter. Przypuśćmy naprzykład, że jakiś filozof uliczny, cieszący się powszechnym szacunkiem i uznaniem, dowodzi swej tezy przed zdziwionym areopagiem obywateli ateńskich, amatorów najrozmaitszych mówców, dowcipnej uwagi, trafego wyrazu. W pełnym toku mowy zbliża się Sokrates ze swym brzuchem nabrzmiałym, zadartym nosem i oczyma na wierzchu i z najskromniejszą i niewinną miną prosi mówcę o wyjaśnienie jakiejś drobnej tezy. Filozof rzuca z pewnością siebie pierwszą lepszą odpowiedź, licząc, iż pozbędzie się w ten sposób skromnego napozór Sokratesa, lecz mędrzec nasz nie zadawalnia się pierwszą odpowiedzią i prosi znów o wyjaśnienie mu jakiejś jej części. Prrowadząc w ten sposób rozmowę, Sokrates skierowuje ją na pożądaną drogę i w chwili właściwej przytacza jakiś fakt powszechnie znany, obalający słowa pseudofilozofa. Wówczas retor powraca do

poprzedniego założenia, lecz i to obala Sokrates. Tym sposobem Sokrates krok za krokiem obnaża przeciwnika i ostatecznie dowodzi błędność i tezy zasadniczej. Mówca wprowadza poprawkę z poprzednim skutkiem; wszelką próbę poprawienia błędu Sokrates spokojnie i chłodno obala i musi ostatecznie nieszczęsny filozof, zawstydzony i wyśmiany, ustąpić Sokratesowi palmę pierwszeństwa i albo zupełnie uciekać z Aten, albo zaprzestać zajęć filozofią. Sokrates postępował bezlitośnie ze swymi przeciwnikami, bezlitośnie kruszył ich uświęcone prawdy, rozpraszał ich szacunek własny i poddawał ich światopogląd swej strasznej, zabójczej analizie. Lecz zabójczą była działalność Sokratesa tylko dla płaskości i głupoty, współdziałając tryumfowi czystej ożywczej myśli. To wykrycie ciemnoty ludzkiej i nakłanianie do dążenia ku prawdzie było jednym z głównych motywów owego samopoznania, które Sokrates uważał za konieczny warunek mądrości ludzkiej i za istotną rękojmię szczęścia ludzkiego. Ażeby mieć obrazowe pojęcie o tych sporach, w których Sokrates miażdżył na proch sofistów ulicznych, przyjrzyjmy się jego dysputcie z braćmi Eutydesem i Dyonisydozem, wędrownymi sofistami, którzy pokazywali swą sztukę przed tłumem, twierdząc to, czemu drugi zaprzeczał, i odwrotnie. Tym sposobem, już to przekonywali, już to podważali przekonanie w młodzieńcu Klipyaszu, że uczą się tylko ludzie ciemni. Gdy zdetronowany młodzieniec nie wiedział, czemu ma ostatecznie dać wiarę, podszedł do dysputujących Sokrates i poprosił, ażeby filozofowie porzucili żarty i nauczyli młodzieńca, jak należy kochać mądrość i cnotę; nie mógł jednak, rzecz prosta tego dopiąć, gdyż sofisci owi byli zdolni tylko do takiego błazeństwa, które Sokrates wyrozumiałe żartem nazwał. Zamiast zaspokoić żądanie Sokratesa poczynają przedrwiwać słowa jego i dochodzą między innymi do wniosku, że nic realnie nie istnieje. Długo i cierpliwie słuchał Sokrates gadaniny sofistów, lecz wreszcie uznał za konieczne przerwać ją jednym ciosem stanowczym. „Czy zaprawdę nie można kłamać? Toć w tem wydaje się potęga mowy. Czyż nie jest tak, t. z. mówiący albo milczy, albo prawdę wygłasza“? Sofisci przytaknęli. „Lecz, być może, tylko mówić kłamstwa nie można, ale można pomyśleć“? „I pomyśleć nie można“, -odrzekł sofista. „Więc sąd fałszywy całkiem nie istnieje“? „Tak jest“. „A zatem niema ani ciemnoty, ani ludzi ciemnych, bo przecież ciemnota, o ileby istniała, zawierałaby się w fałszywym zdaniu o rzeczach“? „Rzecz prosta“, „Lecz tego niema“? powtórnie zapytał się Sokrates. „Niema“, odrzekł sofista. „Czy ty jednakże, Dyonisyodorze, mówisz w celu powiedzenia czegoś niezwykłego, czy też rzeczywiście sądzisz, że wśród ludzi niema ani jednego profana“. „Do ciebie należy obalić mnie“ odparł Dyonisyodor. „A czyż zdaniem twoim można obalić, skoro nikt nie posiada mylnego sądu i nie kłamie“? „Niepodobna“,

stanowczo odpowiedzieli bracia. „Więc niepodobna ani kłamać, ani myśleć błędnie, ani być profanem, a dlatego niemożliwym jest mylić się w tem, co się czyni“? „Tak jest“, odpowiedzieli. „Skoro nikt się nie myli czy to w sprawach, czy w słowie, czy w myślach, wy zaś sami ogłosiliście, że nauczacie cnoty lepiej od innych, to powiedzcie mi na Zeusa, kogoście uczyć przybyli“? Pytanie było postawione, jak się zwykło mawiać, na ostrzu noża, i niefortunni oratorowie mimo wszelkich wysiłków wykręcenia się od prostej odpowiedzi i uratowania swego honoru, zostali wyśmiani i zmuszeni do ucieczki pod gradem żartów i przedrwiwania.

Oto są główne charakterystyczne cechy nauki Sokratesowskiej ze strony zewnętrznej, lecz i wewnętrzna strona tej nauki, jej treść i istota posiadają przy badaniu jego doktryny znaczenie olbrzymie.

Przypuszczać należy, że zapatrywania Sokratesa w rzeczach religii z formalnego punktu widzenia nie różniły się od tych, które ogół ateński oddziedziczył po przodkach. Sokrates czczył bogów, uznawał konieczność składania im ofiar i słuchania wskazań wyroczni Delfickiej. Ta zewnętrzna strona jego wierzenia kryła jednak w sobie tak oryginalne i wzniosłe zapatrywania na religię i Bóstwo, że przed tem tyle głębi zawierającym zrozumieniem ważnych kwestyi wiary głowę schylić należy. Sokrates pierwszy wprowadził pojęcie o istnieniu Jednotnego Boskiego Rozmysłu, kierującego życiem ludzkim i losami całego świata. Trudno twierdzić, że się wzniosł do uznania „bezwartkowego“ Jedynego Boga, i do „wyraźnej“ koncepcyi o nieśmiertelności duszy i życiu pozagrobowem, lecz pojęcia te, jakkolwiek w sposób niezupełnie zdefiniowany, niewątpliwie tkwiły w jego umyśle i były przyczynę wzniosłości i idealizmu jego nauki. Jego zapatrywanie na istnienie Bóstwa, jako Rozumnego Stwórcy i Kierownika wszechświata wypływało ztąd, że to, co rozumne i celowe, nie może nie przypuszczać istnienia twórczego i porządkującego rozumu.

Jak dzieła literatury i sztuki muszą przypuszczać istnienie Homera, Sofoklesa, Polikletesa, Zeuksyzesa i innych, podobnie cały rozumnie i celowo urządony świat wskazuje na istnienie Twórczego Rozumu, który winien być Boskim i Jednotnym na zasadzie swej doskonałości. Uznając istnienie harmonii i konsekwencji w porządku świata, Sokrates przytacza mnóstwo przekonywających i nieulegających kwestyonowaniu dowodów. Wskazuje na nasze organa zmysłów, tak przedziwnie zastosowane do przyjmowania wrażeń wszelakich, na oczy przystosowane do widzenia, nozdrza do węchu, język do smaku, powieki do zamykania oczu na noc, rzęsy dla uchowania ich przed wiatrem, brwi dla osłony przed potem czołowym... Wskazuje dalej, jak mądrze są te organa rozstawione i jak rozumnie są urządzone nasze instynkty i namiętności, a potem przechodzi do tego, że wszystko to

ma na widoku dobro i udoskonalenie naszego istnienia. Dalej debatuje Sokrates nad własnościami bóstwa i przypisuje mu Jedność i Miłość. O Jedności Bóstwa Sokrates wnioskował w ten sposób, że gdybyśmy przypuścili istnienie kilku bogów, przypisując każdemu odrębną cechę, musielibyśmy uznać ich za niedoskonałych, co nie jest zgodne z wyobrażeniem o Bogu; pozatem, gdyby ich było wielu, powstałyby między nimi stosunki podobne do ludzkich, co nie odpowiada naszemu wzniosłemu o nich wyobrażeniu. Jeżeli jednak zauważymy, że wszyscy bogowie żyją w zgodzie, że kierują się jednym i niezmiennym i że z tego powodu niema pomiędzy nimi zasadniczej różnicy, to przyznać należy, że nie są bogami, lecz tylko przejawem rozmaitych własności Bóstwa Jedyngo. Wskazując, że wszystko jest urządzone dla naszego dobra, że wszelkie najdrobniejsze detale zostały przewidziane, Sokrates dochodzi do wniosku, że taka dbałość o człowieka może być wywołana przez miłość, i to miłość najwznioślejszą i najbardziej konsekwentną, będącą najprawdziwszą i zasadniczą cechą Bóstwa, miłość, z której wypływa piecza o człowieku i ochronienie go od najprzeróżniejszych nieszczęść i niedoli. Z takiego sądu o Bóstwie wynikają następne żądania Sokratesa szacunku miłości i posłuszeństwa dla Bóstwa, wykazywania tego na każdym kroku z zachowywaniem praw religijno-etycznych i dążeniem do udoskonalenia przez rozwój zesłanego przez Boga talentu. Sokrates nie uznawał tego, aby w modlitwach prosić o to lub inne dobro; Bóstwo, jak mawiał, samo lepiej od nas wie, czego nam potrzeba, należy przeto błagać je o powodzenie wogóle, Ono zaś zesła dla nas niezbędne dobro. Być może, takie poglądy nie wydadzą się ani zbyt oryginalnymi, ani zbyt przekonawczymi; badania naukowe odkryły teraz taką mnogość nowych horyzontów, opracowano i zbadano tyle życiowych problematów, że wierzenie Sokratesa może się nam wydać naiwnem i niedoskonałem. Jednakowoż wobec tłumu słuchaczy, których koncepcja religijna nie wznosiła się ponad Olimp wierzenia Sokratesa były zjawiskiem wyjątkowem, były świetlanym poprzednikiem wysokiej nauki Chrystusa. Posiadają one jeszcze i to znaczenie olbrzymie, że były pierwszym systematycznym dowodem istnienia i wszechdobra Boga, sam zaś sposób dowodzenia był osnową metody teleologicznej, tak szeroko z biegiem czasu zastosowanej w teologii chrześcijańskiej. O poglądach Sokratesa na przeróżne przejawy naszego psychicznego wewnętrznego życia, i na takie pojęcia oderwane, jak sprawiedliwość, przyjaźń i t. p., możemy sądzić na zasadzie przekazanych przez Ksenofonta rozmów wielkiego mędrca. Posiadając krótkowzroczny umysł mieszczański, Ksenofont nie był w stanie pojąć wielkiej prawdy, wykładanej przez swego ulubionego nauczyciela, lecz dokładnie przepisywał słowa jego i tem wyświadczył olbrzymią przysługę nauce późniejszej, która nie mogłaby bez tego zapoznać się

z doktryną Sokratesa i zamiast stanąć na tym piedestale, na jakim obecnie spoczywa, zaginęłaby zapewne wśród najrozmaitszych podań słownych, co byłoby wielką niesprawiedliwością. A zatem, zapoznając się z rozmowami Sokratesa, możemy odtworzyć jego światopogląd i wypracować o nim sąd określony. Szczególnie charakterystyczne są zapatrywania Sokratesa na sprawiedliwość, na przyjaźń, braterską jednomyślność, konieczność służenia powszechnemu dobru.

Co do poglądu na sprawiedliwość znajdziemy wskazówki w rozmowie Sokratesa z sofistą Ginjaszem. Sofista ten, przysłuchując się pewnego razu rozmowie Sokratesa, rzekł z uśmiechem: „Ty jeszcze obecnie mówisz to samo, com już dawno od ciebie słyszał“? „Zadziwiającem jest tutaj, Ginjaszu, to, że mówię nie tylko o tem samym, ale właśnie to samo“, odrzekł Sokrates. „Z powodu twej wszechstronnej wiedzy zapewne nigdy nie wyrażasz się jednakowo o tej samej rzeczy“? „Właśnie staram się zawsze powiedzieć coś nowego“. „Więc i co się tyczy twych wiadomości z gramatyki, gdy ci ktoś zada pytanie, ile jest liter i jakie w słowie „Sokrates“, odpowiadasz raz tak, a drugi raz inaczej? Lub też w zakresie liczb, jeżeli ktoś cię zapyta, ile wynosi dwa razy pięć—czy i wówczas odpowiadasz niejednakowo“? Doprowadziwszy w ten sposób swego interlokutora do przeświadczenia, że prawdziwa wiedza jest zawsze jedna, wiedzie biesiadę o tem, co jest sprawiedliwsze i wysnuwa wniosek, że „sprawiedliwość“ i „prawność“ są identyczne. Lecz Ginjasz oponuje. „Któż pocznie myśleć, Sokratesie, o poszanowaniu praw, jako o rzeczy poważnej, skoro często sami prawodawcy nie akceptują tych praw i zmieniają je? A zresztą i państwa często rozpoczynają wojny i znów zawierają pokój“. „To prawda odparł Sokrates; „lecz czy spostrzegasz, że odnosząc się pogardliwie do tych, którzy się poddają prawom, z powodu, iż prawa te mogą być zniesione, czynisz to samo, jakgdybyś ganił sprawujących się walecznie podczas wojny za to, że może nastąpić pokój“? „Rozumie się, tego nie biorę pod uwagę“. „Toć wiesz“, kontynuował Sokrates, „że Likurg Lacedemoński nie wyniósłby zupełnie Sparty ponad pozostałe państwa, gdyby nie zaprowadził w niej posłuszeństwa prawu. I państwo to, w którym obywatele najbardziej się do praw stosują, jest szczęśliwe w czasie pokoju i niezachwiane w okresie wojny; a oprócz tego jednomyślność bywa uważaną za największe dobro dla państwa... A więc, Ginjaszu, dowodzę, że prawność i sprawiedliwość są identyczne“. „Mój sąd o sprawiedliwości zgadza się z twoim, Sokratesie“, odrzekł Ginjasz. „Czy znasz jakie niepisane prawa“? Zapytał w dalszym ciągu Sokrates. „Toć są to te prawa, które są jednakowo obserwowane w każdym kraju“. „Czy można powiedzieć, że zostały one ustanowione przez ludzi“? „Jakże to, skoro ludzie rozmaitych krain nie zbierali się w tym celu i zresztą nie byłiby w stanie

tego dokonać ze względu na różnicę języków“. „Więc któż według twego zdania ustanowił te prawa?“ „Sądze, że zrobili to bogowie, gdyż u wszystkich ludów wymaga się przedewszystkiem oddawanie czci temu, co boskie“. „Tak jest“. „Idźmy dalej. Czyż nie wszędzie przyjęto odpłacać wdzięcznością swym dobroczyńcom?“ Ginjasz potakuje ponownie. „A więc sądzisz, Ginjaszu, że bogowie postanawiają rzeczy sprawiedliwe, czy też coś innego, niż sprawiedliwość?“ „Sądze, że sprawiedliwe“. „Przeto i bogowie pragną, aby to, co prawne i co sprawiedliwe stanowiło tożsamość“. Takie rozważanie wskazuje na zaufanie, jakie żywił Sokrates do prawodawców wybranych. Nie przypuszczał, że mogą być prawa barbarzyńskie i bezmyślne, pozostające w sprzeczności z wszelką sprawiedliwością i miast spokojnego rozkwitu i dobra, przynoszące tylko łyzy i oburzenie. W możliwość istnienia podobnej smutnej rzeczywistości Sokrates nie wierzył i uważał to łącznie z rządami 30 tyranów za anomalie, za wypadek wyjątkowy, nie podpadający pod regułę ogólną. Z tego punktu widzenia Sokrates oczywiście ma słuszość i trudno się z nim nie zgodzić. Prostota i prawda cechuje jego zapatrywania na przyjaźń i braterską jednomyślność. Mówiąc, że nawet za dobrego niewolnika płaci się więcej, niż za złego, Sokrates twierdzi, że dobrych ludzi należy cenić i czynić im wszelakie ustępstwa, byle ich sobie zaskarbić i podobnie jak ochraniaemy nasz wzrok, ręce i nogi, współdziałające szczęśliwemu pożyciu, tak też winniśmy ochraniać przyjaciela który nas podtrzyma moralnie i materyalnie. Ztąd wypływa jego zapatrywanie na braterską jednomyślność, jako na dobro wszelkie i nieodzowne. Jednakże Sokrates uznawał, że nie tylko względem brata czy przyjaciela należy być zawsze gotowym do usług, lecz i w stosunku do społeczeństwa i państwa człowiek posiada te same obowiązki. W swej rozmowie Chormidasem Sokrates twierdzi, że skoro człowiek daje mądre wskazania swemu przyjacielowi lub wogóle znajomemu, skoro może dać dokładne wskazówki, jak należy postąpić w danym wypadku, to przyjmowanie udziału w kierownictwie sprawami państwa, jako wyższej formy rodziny i przyjacielskiego związku, staje się jego prostym obowiązkiem. Wogóle zapatrywania Sokratesa na państwo i życie państwowe szły wbrew zdaniu panującemu. Czasy, podczas których żył Sokrates, były okresem dążeń klas uwłaszczonych do sunięcia masy ludowej z areny życia politycznego i postawienia u steru władzy oligarchii arystokratycznej. Polimia ateńska znajdowała się jeszcze w pełnym rozkwicie i naród wciąż jeszcze był nosicielem państwowości tak w praktyce państwowego życia, jak w teorii konstytucyjnej. Jednakoż w związku z tem pod rozkładającym wpływem gospodarki kapitalistycznej, która zamieniła jedną część ludności na pasożytniczą czerniejską, a drugą na chciwą burżuazyę przemysłową, poczęły się osto-

je społeczeństwa ateńskiego nieznacznie podważać przez demoralizację moralną i polityczną i nasuwający się cień despotyzmu i niewolnictwa począł coraz wyraźniej zagrażać społecznemu dobru. Sokrates wyczuwał, jak dalece bez wyjścia było owo położenie, w którym się znajdowało państwo, odczuwał, że Aten nie uratuje ani oligarchia, ani demokracja,—jedno z powodu pychy i pragnienia władzy, drugie z powodu ciemnoty i lekkomyślności. Zbawienie tylko wówczas stanie się możliwym, gdy na czele państwa staną najlepsi doświadczeni w rządzeniu;—„arystokraci“ w rzeczywistym znaczeniu tego słowa. Jakkolwiek to nie było zgodne z utartymi teoryjami, jednak czy to w świecie społecznym, czy fizycznym należy się liczyć nie z zasadami abstrakcyjnymi, lecz z konkretnymi faktami, które nauczają nas często zupełnie innych rzeczy, niż piewsze. Sokrates właśnie na zasadzie takich tylko względów zapatrywał się ujemnie na współczesny mu sposób kierowania sprawami państwa. Zdaniem jego, aby zostać dobrym flecistą lub nawet szewcem, należy się długo i starannie uczyć, demokraci zaś sądzą, że obrani przez losowanie zarządcy łatwiej sobie poradzą ze sprawami rządzenia, niż zwykły rzemieślnik ze swym rzemiosłem. Uważając to za nielogiczne i szkodliwe dla państwa, głosił również ideę rządu arystokratycznego. Wiemy, że Platon pierwszy sformułował wywymienione zapatrywania ze ścisłością i matematycznością myśliciela; lecz nauczycielem jego i w tym zakresie był Sokrates.

Wygłaszanie poglądów, niezgodnych z panującym zapalrywaniem na rzeczy, było zawsze najniebezpieczniejszem przedsięwzięciem. Co się zaś tyczy Sokratesa, to ustawiczne dążenie do prawdy, zdzieranie korony z dawnych bożyszcz i obalenie autorytetów stworzyło całą grupę ludzi, niezadowolonych z wytykającej działalności Sokratesa. Byli to przeważnie osobiści nieprzyjaciele Sokratesa, ludzie, którzy utracili możność pędzenia rozpustnego życia pod osłoną fałszywych teorii, których szkodliwość i bezzasadność wykazał Sokrates. Naprzykład, nie pobierał on nic za swe nauki i uważał to za rzecz najniemożliwszą dla filozofa; rzecz oczywista, iż oburzało to pozostałych filozofów—sofistów, którzy za swoje wykłady pobierali olbrzymie zyski pieniężne. Podobnie byli nie zadowoleni z niego polityczni przeciwnicy Sokratesa, wyśmiani sofisci i kierownicy nawy państwowej, którym udzielał nagany, gdy nie spełniali uczciwie swych obowiązków. Wynikiem takiego nastroju było ogłoszenie, które pojawiło się w 399 roku p. Ch. i głosiło, co następuje: „Sokrates syn Sofroniskosa, zostaje oskarżony o przestępstwa: po pierwsze, że nie oddaje czci bóstwom, które uznaje miasto, zaprowadzając jednocześnie własnych bogów i po drugie, że podrywa moralność wśród młodzieży. Zasłużona kara — śmierć“. Oskarżenie to zostało wniesione do sądu przez trzy osoby: bogatego handlarza Anitesa, drobnego wierszopisa Melitesa i retora

Likonima. Już więc same postacie oskarżycieli wymownie wskazują na to, przez kogo Sokrates oskarżonym został: przez burżuazję — tępą i zysku żądną; pseudointeligencję — dyletancką i wąską, a ostatecznie przez retora, niby filozofa, półuczonego, przedstawiciela błyskotliwego lecz beztreściowego zwrotu. Ta trójca małostkowości ludzkiej stanowi najniebezpieczniejszego wroga wszelkiej myśli wolnej, wszelkiego uczciwego zapoczątkowania. Przed sądem ich Sokrates s*anał, jak wypadła na wielkiego mędrca, zdającego sobie sprawę z prawości i niewinności swojej. Żadne słowa nie są w stanie zobrazować tej wspańiałości i siły, jakimi tchnęła mowa sądowa Sokratesa. Nie mówię „mowa obrończa“, gdyż Sokrates sam obalał wszelką obronę, mówiąc, że niema potrzeby bronienia się słowem, skoro całe jego życie, które przeszło na oczach całego miasta, służy mu jako najlepsze oczyszczenie z zarzutów. Łatwo mu przyszło rozbić na całej linii zawiłą długą mowę Melitesa i wykazać zupełną niesprawiedliwość podobnych oskarżeń. A gdy mu sędziowie wynieśli wyrok śmierci, który jednakowoż można było zamienić na wygnanie i karę pieniężną, to Sokrates, nie błagając ani o litość! ani o względy, rzekł nie jak skazany przestępca, lecz jak wolny obywatel, zdający sobie sprawę ze swych zasług: „W imię sprawiedliwości winniście, Ateńczycy, uszanować we mnie dobroczyncę społecznego i utrzymywać w Prytanei kosztem ogółu na wzór zwycięzców w igrzyskach Olimpijskich“. Sędziowie, obrażeni dumą Sokratesa, uznali sumę, którą proponował wzamian kary śmierci, za zbyt małą i większością głosów skazali go na śmierć. Ciekawe są wyrazy, wyrzeczone przez Sokratesa po wyroku.

„W celu nieznacznego zyskania na czasie narażacie się, Ateńczycy, na oskarżenie ze strony niechętnych państwu, iż zasądziście na śmierć Sokratesa-mędrca (gdyż, choć mędrcecm nie jestem, lecz tak nazwą mnie wszyscy ci, którzy będą wam czynili wymówki).

Gdybyście nieco zaczekali, sprawa obyłaby się bez waszego udziału, albowiem widoczne wam są lata moje: dożyłem do lat sędziwych i jestem blizki śmierci. Nie do wszystkich to mówię, jeno do tych, co głos za wyrok śmierci podali. Przypuszczacie, być może, że zostałem skazany dlatego, że nie umiałem oddziałać na umysły wasze? W rzeczywistości jednak rzeczy mają się całkiem inaczej. Nie dlatego skazano mnie, iżbym nie miał czego ukrywać, lecz dla braku bezczelności i bezwstydu, albowiem nie mówiłem wam tego czego słuchacie najmilej, nie płakałem i nie wszczynałem lamentu, nie uczyniłem nic takiego, coby mi ujmę przynosić mogło i co inni czynią, jak to często widzicie. Albowiem czynienie lub mówienie czegoś, co jest niegodne wolnego człowieka, uważam za nieprzyzwoite, więc i obecnie nie żałuję, iżem obral taki, a nie inny sposób obrony. W moich oczach lepszą jest taka obrona i śmierć niż inna obrona i życie. Oto z jaką prośbą zwracam

się do was: Gdy synowie moi podrosną, strofujcie ich, karajcie ich tak, jakiem ja was karał, jeżeli więcej będą dbali o bogactwa, niż o cnotę. Jeżeli dokonacie tego, odplaciecie sprawiedliwie mnie i synom moim. Teraz czas nam się rozstać—mnie, aby umrzeć, wam—aby żyć; lecz kogo oczekuje lepszy los, to jest tylko jednemu Bogu wiadome“. Jednak wykonanie wyroku nie mogło natychmiast nastąpić, gdyż okręt święty, który woził ofiary na wyspę Salamin, nie powrócił jeszcze, a czas jego nieobecności uchodził za święto, podczas którego nie wolno było karać śmiercią. Właściwie mówiąc, Sokrates winien był zażyć trucizny zgodnie z prawami ateńskimi. Pomiedzy wyrokiem sądu a jego wykonaniem upłynęło dni 30, podczas których Sokrates, jakkolwiek pozostawał w więzieniu, jednak korzystał z prawa widywania się z swemi przyjaciółmi, którzy ustawicznie go otaczali i rozkoszowali się ostatnimi rozmowami z wielkim filozofem.

Kryton, jeden z najwięcej oddanych uczniów i przyjaciół Sokratesa, począł upraszać swego nauczyciela o skorzystanie z pomyślnych okoliczności i ratowanie się ucieczką. Wszystko było już przygotowane; brakło tylko zgody Sokratesa. Kryton wskazywał, że nieskorzystanie z ucieczki byłoby zupełnem obłąkaniem. Mimo to Sokrates pozostawał nieugiętym i stanowczo odrzucił tę propozycję. Wszak przez pół wieku głosił uległość prawu, korzystał z praw obywatela, doznawał dobra, z prawa wynikającego, a teraz ma się odwrócić od miasta i uciec, jak wzgardzony niewolnik? Uważał to za absolutnie niemożliwe. W ciągu ostatnich dwu dni Sokrates ustawicznie prowadził umoralniające biesiady ze swemi uczniami. Dowodził wówczas, że nie cały człowiek umiera, że czysta, niewidzialna dusza odchodzi do czystego, niewidzialnego, boskiego, wiecznego i rozumnego świata, gdzie żyje w szczęśliwości. Skoro Sokrates uznawał, że dusza posiada boskie cechy, przeto musiał, co zatem idzie, wierzyć w jej nieśmiertelność.

Lecz oto nadszedł ów wieczór, w którym mu wypadło pożegnać się z życiem. Dokonywa obmycia, ażeby tego nie robiono po śmierci, żegna się z żoną i dziećmi i, otoczony przez swoich uczniów, powoli wypija truciznę z czary, podanej mu przez stróża. Nie zadrzała mu ręka, nie zmienił się na twarzy. Przy powszechnym płaczu i rozpaczcy gasł spokojnie i majestatycznie łącznie z ostatnimi promieniami dogorywającego słońca. Tylko, że ono wszędzie następnego poranka a życie, raz zagasłe nie powraca już nigdy, pozostawiając tylko smutek głęboki i nawiewając niewesołe myśli o szybkim przemijaniu ziemskiego istnienia, ziemskiego szczęścia i ziemskich smutków i cierpień.

Przyjrząwszy się całemu życiu Sokratesa, jego filozofii i działalności naukowej, możemy powtórzyć nad mogiłą wielkiego mędrca je-

go własne słowa, wyrzeczone na sądzie: „Zdaje mi się, że jestem zesłany przez Boga, aby zbudzić was z waszego letargu, jak owad swym ukłuciem budzi silnego, lecz leniwego konia. Być może gniewacie się na mnie za takie turbowanie waszego snu; w takim razie odpędźcie mnie, uspokójcie się i śpijcie wiecznie“. Te słowa, które zostały wypowiedziane 2309 lat temu, nie straciły znaczenia swego nawet do chwili obecnej; i podobnie, jak dotyczyły Ateńczyków, mogą się stosować do każdego z nas.

Wielkie idee, głoszone przez Sokratesa, żyją i teraz, tylko nie w każdym sercu znajdują współczucie i nie w każdej duszy wywołują dążenie do prawdy i dobra.

Konstanty Skrzyński.





CZTERY PIEŚNI O BABUNI.

PANI A. ZE ŻMUDZKICH BOGDAŃSKIEJ
POŚWIĘCA AUTOR.

I.

Babcia drzemie... Babcia śni...
Babcia marzy... Myśl ulata
Do minionych dawno dni
W niepowrotnie przeszłe lata,
Które czasu pokrył cień.
Babcia drzemie... Babcia marzy...
Pierwsza miłość, pierwszy dzień
Onych cudnych snów — miraży,
Pierwszych tęsknot... cichych łez,
Czystych uczuć, cudów, czarów...
Śpiewał słowik, pachniał bez,
Strumień szemrał wśród szuwarów
I księżycą błyszczał nów...
I w pamięci się odsłania
Pierwsza miłość pełna snów,
Pierwszy tkliwy szept kochania...
Babcia przez sen się uśmiecha
Odmłodziła... piękna... cicha...

II.

Babcia nie śni. Babcia czuwa...
Niespokojnie serce rwie się,

Rzeczywistość sen zatruwa
I ból niesie, i żal niesie...
W piersi pustka... Pustka w duszy...
Serce wyschło niby wiór,
Z oczu łza za łzą się prószy,
Jak perełek srebrnych sznur.
Babcia nie śni... Babcia płacze!
Lecą ciężkie srebrne łzy...
Serce rwie się i kołacze
W pustej piersi... Serce drży!

III.

Lecą ciężkie srebrne łzy
Na wełniany czarny szal,
Że prześniły się już sny
I pozostał głuchy żal;
Że w niemocy serce drży
Do słonecznych, jasnych hal,
Do minionych dawno lat,
Niepowrotnych szczęścia drzeń,
Że młodości uwiadł kwiat,
Że upojeń minął dzień
I u starczych, drżących stóp
Rozwarł się otchłanny grób...
Życia szkoda, życia żal —
Słonko świeci... pachną bzy
A na czarny Babci szal
Lecą ciężkie, srebrne łzy.

IV.

Babcia nie śni i nie marzy,
Na powiece skrzepla łza,
Błady uśmiech ma na twarzy
I martwość w oku ma.
Już krew w żyłach nie pulsuje
Serce nie drga niby dzwon...
Babcia milczy. Nic nie czuje
Przyszedł zbawca — cichy zgon.
Prysły myśli — prysły czary
I wspomnienia prysły w dal...
Z nosa spadły okulary
Na wełniany czarny szal.
Cerę żółtą ma, woskową,

Rysy ostre, orli nos...
Aureolę nad jej głową
Uformował siwy włos...
Wicher szumi gdzieś w gęstwinie
Liście targa, jęczy, łka...
A po martwej twarzy płynie
Z martwych oczu — martwa łza.
Babci niema! Poszła cicha
Szlakiem jasnych, mlecznych dróg,
Gdzie swobodniej pierś oddycha,
Gdzie w przestworzu czeka Bóg.
Poszła gwiezdny złotym szlakiem,
Aż do rajskich doszła wrót,
Przyleciała białym ptakiem
Po nagrodę za swój trud.
A na ziemi nisko w dali
Został zimny, martwy trup...
Ludzie w piaskach wykopali
Dla Babuni cichy grób,
Nađ mogiłą brzoza rośnie
I warkocze wznosi wzwyż,
A co rok o wczesnej wiosnie
Świeży kwiat umaja krzyż.
I znów Babcia drzemie, marzy,
O minionych czasach śni,
W cichym grobie wśród cmentarzy
Wiele godzin, wiele dni.

Stanisław Czosnowski.



C Z A S.

Przy kołowrotkach młode dziewy...
Słoneczko igra srebrną przędzą,
Warkoczą kółka, śmiechy, śpiewy...
godziny pędzą!
Godziny pędzą! bo czas bieży
Jak błyskawica... Trudna rada
Wciąż bliżej, bliżej snów rubieży..
już zmierzch zapada!
Zapada zmierzch, tęsknotę nuci
Bez słów! wokoło cisza słodka...
Godzina pędzi, sama leci
od kołowrotka!
Od kołowrotka! gasną oczy
I strach wśród młodej wzbil się rzeszy!
Życie gaśnie — znak proroczy!
bo czas się śpieszy...

Warszawa 9. IV. 1911 r. *Wojciech Staniszewski.*

* * *
Daremne są Tve pieśni,
Daremny głos kochany,
Na nowo się nie prześni
Sen dawno zapomniany...
Nie dla mnie wszakże maj
Swoj młody czar roztoczy,
Nie dla mnie wróżą raj
Promienne Twoje oczy.
Nie dla mnie blaski zórz,
Nie dla mnie kwiaty rosna,
Nie dla mnie urok róż
Gra słodką pieśń miłosną.
Ach nie, nie mogę teraz
Przyjmować Twej miłości,
Wszak wracam jeszcze nieraz
Myślami ku przeszłości...
Daremne są Tve pieśni,
Daremny głos kochany,
Na nowo się nie prześni
Sen dawno zapomniany...

Konstanty Skrzynski.

RÓŻANY KRZAK.

W ogródku rósł różany krzak,
W ogródku mej kochanki—
Jak słodycz z kwiatów pije ptak
Jam słodycz pił sielanki!

I całe lato śniłem tam,
Gdzie rozkwitł krzak różany
I uwierzyłem wtedy sam,
Że jestem zakochany!

Owionął postać lubej snów
Czar z tego krzaku róży
I uwierzyłem wtedy znów,
Że krzak mi szczęście wróży...

Lecz przyszedł wnet jesienny czas,
Pożółkły wonne niwy
I... został krzak bez swoich kras,
Bez kwiatów — nieszczęśliwy!

Z jesienią pierzchły zwoje snów,
Bo jesień zemsty chciwa!
I uwierzyłem wtedy znów,
Że to tak zawsze bywa!...

Wojciech Staniszewski.

Kijów 19. V. 1910 r.



SPIS RZECZY.

Wstęp <i>K. Skrzyński</i>	3
Wierzę <i>M. Cramer</i>	6
Urywek z przeszłości <i>M. Cramer</i>	7
Kwestya polska na kongresie wiedeńskim <i>St. Czosnowski</i>	8
Czy znasz?... <i>St. Czosnowski</i>	12
Goniec <i>M. Cramer</i>	13
Skarb „ „	13
Rzut oka na stan ekonomiczno-polityczny Kongresówki— <i>K. Skrzyński</i>	14
* * * <i>Wiktora Lewińska</i>	24
Kura i świnia (Bajeczka dla małych dzieci) <i>W Staniszewski</i> winieta, Józefa Hollaka	25
Pamięci I. P. <i>Wiktorya Lewińska</i>	26
* * * <i>St. Czosnowski</i> winieta J. Hollaka	27
Stepy <i>M. Cramer</i>	27
Przeczcucie upadku Polski w kazaniach sejmowych Skargi <i>W. Kulikowski</i>	28
Nenufary. <i>W. Lewińska</i> —winieta J. Hollaka	36
Jesienne symfonie <i>M. Cramer</i>	37
Różnica pomiędzy twórczością kolektywną i twórczością indywidualną <i>W. Kulikowski</i>	38
Tęsknota <i>K. Skrzyński</i> winieta J. Hollaka	42
* * * <i>M. Cramer</i>	43
* * * <i>S Czosnowski</i>	44
Uczucia <i>K. Skrzyński</i>	45
Odprawa posłów greckich (dramat J. Kochanowskiego) <i>W. Kulikowski</i>	46
* * * <i>K. Skrzyński</i> —winieta J. Hollaka	50
* * * <i>M. Cramer</i>	51
O sztuce <i>S. Czosnowski</i>	53
Pieśń o Grunwaldzie <i>S Czosnowski</i> —winieta J. Hollaka	65
Babie lato <i>W. Staniszewski</i>	68
Jesienią <i>St. Czosnowski</i>	69
Sokrates jego życie i dzieła <i>K. Skrzyński</i> winieta Hollaka	72
Cztery pieśni o babuni <i>St. Czosnowski</i> winieta Hollaka	95
Czas <i>W. Staniszewski</i>	98
* * * <i>K. Skrzyński</i>	98
Różany krzak <i>W. Staniszewski</i>	98

F
24.194